# PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ROK III * WARSZAWA * SOBOTA — CENA 50 GR. — 13 KWIETNIA 1935 R. * NUMER 15 (80)



# WŁASNYM WYSIŁKIEM PÓJDZIE NARÓD KU ODRODZENIU*

W długich dociekaniach, dyskusjach i przemyśleniach nad rozwiązaniem pytania — jakim ma być ustrój Rzeczypospolitej — nie kierowaliśmy się względami prywaty koteryjnej, klubowej, czy obozu. Praw zasadniczych, któremi ma się rządzić Polska, nie naginaliśmy do interesów bądź przemijających, bądź cząstkowych, służących warstwie lub grupie obywateli, a nie wszystkim porówno, jako zespolonej całości.

Szukaliśmy rozwiązań, z duchem narodu zgodnych, pragnęliśmy z dziejów naszych uchwycić dobre i złe, twórcze i rozkładowe właściwości duszy polskiej, aby znaleźć zrozumienie i podporządkowanie się tym prawom zasadniczym, które mają w Polsce regulować życie, wiecznie płynne i zmieniające swoją codzienną treść.

Wejrzenie w historję kilku ostatnich pokoleń wyjaśni nam wiele.

Wolność obywatelska przedrozbiorowego szlacheckiego społeczeństwa polskiego — ta wielka podstawa rozwoju swobodnej i twórczej myśli narodu — uległa swoistemu zwyrodnieniu. Przerodziła się w doktrynę, górującą nad zdrowym rozsądkiem, przerodziła się w bezkarność. Doktryna ta chroniła warchołów i szkodników, a bezradnym czyniła ogół obywateli — i bezbronnem Państwo. Nie umiano rozwiązać zagadnienia, jak — zachowując swobody obywatelskie — bronić ogół przed działaniem jednostek złych.

Krokiem ku odrodzeniu był dopiero ostatni akt konstytucyjny Polski przedrozbiorowej — akt 3 maja 1791 roku. Miał on władzę w państwie wzmocnić, skarb zaopatrzyć, miał siłę obronną powiększyć, miał — zachowując swobody obywatelskie — skutki anarchji, grożącej państwu, zmniejszyć i stopniowo opanować.

Podciągał ku wyższemu poziomowi nową warstwę społeczną — t. zw. stan trzeci — dając tem wyraz naszej tak bardzo polskiej tendencji rozwojowej, naszemu poczuciu potrzeby równania ku górze.

Wiemy, że zwyciężyli obrońcy złotej wolności, wiemy, że była Targowica, wiemy, że do Katarzyny II wołano, by gwarantką wolności być zechciała. I wiemy również, że zapoczątkowane Konstytucją 3 maja odrodzenie Rzeczypospolitej, jej własnych, na instynkcie narodu opartych form ustrojowych i własnej myśli państwowej, zostało przez rozbiory przerwane.

Wolność i godność człowieka to wielki klejnot.

Na nich — i tylko na nich — znalazły oparcie wszystkie późniejsze wysiłki, by Państwo odzyskać.

Urywa się rozwój własnych form państwowych, kończy się doktryna złotej wolności szlacheckiej. Urasta na to miejsce coś o wiele ważniejszego, urasta pytanie — jakiemi drogami klęskę odwrócić.

I to pytanie zapanuje u nas na cały czas późniejszej niewoli. Usiłowania w dwóch bardzo rozbieżnych pójdą kierunkach.

Muszę poddać analizie to, co pokolenia tak bezpośrednio nas poprzedzające nam przekazały i co stało się składnikiem naszego myślenia.

Wspomniałem o dwóch kierunkach usiłowań. Jednym z nich było liczenie na cudzą pomoc. Nie można odmówić pobudek szlachetnych i ofiar ciężkich tym, którzy, gniotąc w sobie uczucia dumy własnej, o pomoc dla Polski żebrali. Lecz wiara ich w sprawiedliwość świata w stosunku do Polski była złudzeniem, a liczenie na nią wytwarzało nastroje wyczekiwania i pogłębiało bierność własnego narodu. I poprzez wszystkie pokolenia, poprzez wszystkie wysiłki porywającego się do walki narodu, to łudzenie nadziejami na pomoc obcą zmniejszało napięcie podejmowanych walk. Aż po moment wyzwolenia Polski ten brak wiary we własne siły prężność naszą rozkładał — a i w dzisiejszą naszą treść niemałym trudem się wtłacza. Do takich następstw prowadzi i prowadzić musi zapoznawanie prostej prawdy, że wszystko, co nas otacza, stanowi tylko okoliczności zewnętrzne — utrudniające lub ułatwiające, lecz takie, które własnego wysiłku zastąpić nie są w stanie. Prawda ta zachowuje swoje znaczenie zarówno w rzeczach wielkich, stanowiących o losach narodów, jak i w szarem codziennem życiu, w powszednich troskach i kłopotach każdego człowieka.

Na szczęście była i druga linja działania.

Najpierw Kościuszki insurekcja — jego myśl urzeczelnia, by lud polski do godności obywatela podnieść, by więcej rąk uzbroić — staje się nakazem dla wszystkich późniejszych usiłowań.

A obok tego inne przemyślenia i inne rachuby.

Polskę zgniotły trzy wielkie monarchje — „święte przymierze“ mocarstw, gwałt czyniących, siłą brutalną miażdżących wolność Polski, jak i wolność własnych ludów. Zaś na zachodzie Europy wstrząs rewolucyjny tron Burbonów przewrócił.

Nadzieja, że pożar rewolucji może się rozszerzyć, że może o zaborców zawadzić, że może ich osłabić, że może wytworzyć układ sił dla Polski korzystniejszy, wyzwolenie rokujący — pociągnęła pod sztandary Napoleona tych, którzy własne ramię do rozwoju zdarzeń przyłożyć pragnęli.

Przez cały wiek XIX i aż po moment wyzwolenia Polski we wszystkich zamysłach, we wszystkich rewolucjach, jakie wstrząsały Europą, są Polacy; umieją oni zespolić, w jedno spleść swe żołnierskie [illegible] z hasłami rewolucji. Pragnieniem [illegible] siła, przyswajają i za własne przyjmują hasła i cele, na sztandarach rewolucyjnych wypisane.

Dla nich błyskiem nadziei i nakazem działania była wiara, że te hasła rewolucyjne swą siłą promieniowania dotrą i kruszyć będą potęgę monarchij zaborczych. I to była najgłębsza myśl przewodnia Polaków, zasilających szeregi rewolucyjne.

Walcząca o swe wyzwolenie demokracja Zachodu wysunęła szereg haseł, szereg zasad ustrojowych, które pragnęła zrealizować. Hasła te i formułki myślenia przyjmowały się i w naszem społeczeństwie. Ale w głębi dominowała nad niemi myśl, rzucona przez Kościuszkę. W stopniu silniejszym lub słabszym przewija się ona we wszystkich naszych pracach przygotowawczych i we wszystkich powstaniach. Wszędzie widzimy te same usiłowania, aby szerokie masy — te dolne warstwy — do godności obywatelskiej podnieść i do walki o wyzwolenie powołać. Kto tej myśli nie czuje, kto w formułkach doktryn pragnie zacieśnić tych usiłowań treść, ten ani dziejów narodu, ani jego duszy rozumieć nie będzie.

Wejrzyjmy w duszę pokolenia dziś żyjącego, a dostrzeżemy bez trudu, że na takim samym, jak ongiś jeszcze przed rozbiorami, podkładzie psychicznym, na którym występują jakby przyrodzone właściwości rasy polskiej, narosły i utrwaliły się cechy dobre i złe, myśli samodzielne i doktryny od innych przejęte, ale z psychiką naszą niezgodne, dla nas obce. Jeśli pragniemy, by naród pełnię swych sił rozwinąć zdołał, to musimy nawiązać do przerwanych przez rozbiory naszych własnych form ustrojowych. Może znajdziemy drogi, któreby wydobywały z człowieka jego wartości dobre, a opanowywały to, co psuje, co przeszkadza, co dobro zbiorowe rozkłada i niweczy.

Dwa naczelne zagadnienia wymagały rozstrzygnięć.

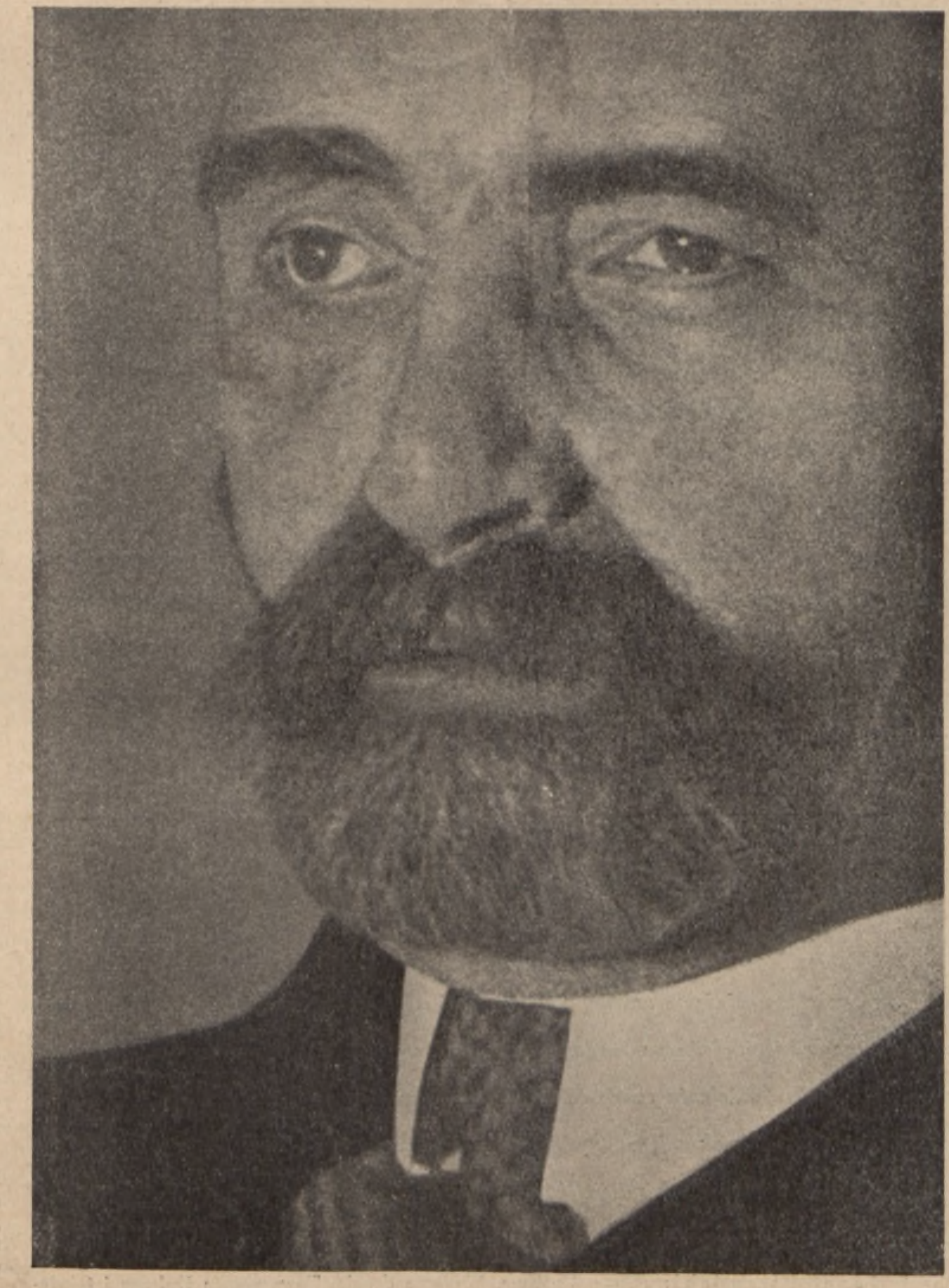
Pierwsze — to zabezpieczenie Państwa przed nawrotem do nieodpowiedzialnych rządów sejmowych: nie może Państwo być rozsadzane przez anarchję, która poczęła się panoszyć.

Zwiększenie władzy Prezydenta Rzeczypospolitej było naszym zamiarem i znajduje w Konstytucji swój wyraz.

Zadania i uprawnienia naczelnych organów Państwa są wyraźnie w Konstytucji określone. Stworzono również ramy, w których życie i jego rozwój oprzeć się będą mogły na swobodnej twórczości społeczeństwa. Konstytucja jasno mówi, jaki ma być w Polsce stosunek obywatela do Państwa. Jeżeli każdy poczuje, że Państwo jest jego dobrem, jeśli zrozumie, że po dorobku pokoleń ma dalsze dobudowywać wartości, o sile i rozwoju stanowiące, to będzie wokół siebie poszukiwał ludzi, którzyby razem z nim do pracy stanąć byli gotowi. Wierzymy, że wielu takich w Polsce się znajdzie.

Wiemy, że Konstytucja, przez nas uchwalona, nie usunie ludzi złych, nie zmniejszy przeszkód, jakie będą oni w każdej pracy stawiali. Wierzymy jednak, że naród, że ogół, który będzie własnym wysiłkiem rozbudowywać przyszłość swego Państwa, znajdzie drogi, któreby mogły zabezpieczać jego pracę przed działaniem czynników szkodliwych i rozkładowych. Głębsze zrozumienie zasady, iż granicą wolności jednostki jest dobro zbiorowe, winno dać Polsce obronę przed niebezpieczną cechą duszy polskiej — przed warcholstwem, wnoszącem w życie polskie rozprzężenie. Ten, co chce budować, musi znaleźć środki wbrew i przeciwko tym, którzy umieją tylko przeszkadzać.

*WALERY SŁAWEK*



WALERY SŁAWEK

* Fragmenty mowy wygłoszonej w Sejmie dn. 23. III. 1935 r.

# WSPÓLNE DOBRO WSZYSTKICH OBYWATELI



Wacław Makowski

Nowa Konstytucja składa się z dwóch części. Pierwsza, krótka zawiera w dziesięciu artykułach zbiór zasad, których rozwinięciem i praktycznem zastosowaniem jest obszerna część druga.

Podnoszono czasami wątpliwości, czy potrzebna jest ta część pierwsza, czy nie wystarczy w ustawie ustrojowej zająć się tylko postanowieniami, omawiającemi w sposób normatywny poszczególne urządzenia państwowe, pozostawiając doktrynie naukowej wnioskowanie o tem, jakie zasady doprowadziły do powstania takich właśnie urządzeń i powinny kierować ich czynnościami. Rozumowanie takie słuszne jest tylko o tyle, że ustawa konstytucyjna, jak każda inna ustawa, nie powinna zajmować się rozważaniami naukowemi, ani wchodzić w dziedzinę teoretycznego określania swoich własnych postanowień. O tem, czy ustrój państwa według jego ustawy konstytucyjnej jest np. liberalny, demokratyczny, nacjonalistyczny, czy socjalistyczny i t. p., nie decydują użyte ewentualnie w samym tekście ustawy konstytucyjnej nazwy, ale treść zawartych w niej postanowień normatywnych. Uczony teoretyk, nie krępując się tem, co ustawa sama o sobie mówi, może, opierając się na treści przepisów tej ustawy, dojść do zgoła odmiennych wniosków, dać jej zgoła odmienną nomenklaturę naukową. Bowiem o formie ustroju nie decyduje nazwa, ale charakter urządzeń, w których się ten ustrój wyraża.

Ale są inne postanowienia, które nazywamy deklaracyjnemi. i te postanowienia obok zwykłych przepisów normatywnych stanowią właściwą treść każdej konstytucji. Już pierwsza konstytucja francuska z r. 1791 wypowiadała znamienne twierdzenie, że należy zapoznać wszystkich ludzi z ich przyrodzonemi prawami, aby tą drogą uniknąć społecznego zła, które przedewszystkiem z nieznajomości przez ludzi przyrodzonych praw wynika. W tym właśnie celu na czele konstytucji umieszczono deklarację praw człowieka i obywatela, w 17 artykułach omawiającą te podstawowe prawa, których znajomość wydawała się wówczas przedewszystkiem niezbędna. Późniejsze konstytucje francuskie, jeżeli nie podawały nowych własnych przepisów deklaracyjnych, prawie wszystkie, nie wyłączając nawet konstytucji drugiego cesarstwa, powoływały się na deklarację pierwotną 1789 r. Ale tymczasem w życiu, w układzie stosunków społecznych, w podstawowych poglądach prawa publicznego zachodziły głębokie zmiany.

Dzisiaj tak samo jak przed półtora wiekiem jest rzeczą ważną, ażeby ludzie zdawali sobie sprawę z zasad, na których się opiera porządek prawny, ażeby zdawali sobie sprawę z istoty swego stosunku do społeczności i do siebie wzajem. Ważne to jest tem bardziej, że w rozumieniu tych zasad zaszły bardzo głębokie przeobrażenia. Niektóre prawdy, objawione w deklaracji praw z 1789 r., nabrały nowego głębokiego znaczenia, weszły one w krew ludzi nowoczesnych, stały się nieodłącznemi elementami ich czucia i rozumowania, ich wreszcie postępowania społecznego. Inne wymagają wyraźnej korektywy, albo też wręcz okazało się, że były złudzeniem i że należy na ich miejsce postawić nowe, odkryte w ciągu praktyki społecznej ubiegłego wieku, odpowiadające wierze dzisiejszych pokoleń prawdy społeczne.

To też konstytucja pisana obecnie nie może tych wszystkich spraw pominąć milczeniem, — musi ona albo powołać się na dawne zasady deklaracji praw przyrodzonych, albo powtórzyć je bez zmian, albo wreszcie dać własną deklarację, której treść odpowiadać będzie nowym prawdom.

Ze wszystkich tych form tylko ta trzecia była możliwa i słuszna. Trzeba koniecznie rozpocząć konstytucję nowego przeobrażonego państwa od ustalenia zasad, na których się jego ustrój ma opierać, — a że zasady te nie są identyczne z temi, które, szczerze czy nieszczerze, powtarzał za entuzjastami Wielkiej Rewolucji wiek XIX, trzeba znaleźć dla nich odpowiedni nowy wyraz.

Zasady ustroju państwa, jakkolwiek w najważniejszych linjach zapewne jednakowe wszędzie, jednakże mają swoje odrębne cechy w każdem społeczeństwie ludzkiem, w każdej epoce, w związku z odrębnemi cechami psychiki różnych narodów. Nawet gdyby nie było w życiu społecznem i politycznem tych głębokich przeobrażeń, których jesteśmy świadkami, to i tak już z samej różnicy epok i odrębności charakteru narodowego wynika, że inne rzeczy należy przypominać Francuzom w końcu XVIII, a inne Polakom w początku XX w. Nasz stosunek do państwa był, a poniekąd jest jeszcze, jak ta „wiara bez uczynków". W okresie niewoli większość traciła już nawet i taką wiarę, część zachowała ją, jak relikwje, ale tylko bardzo niewielka grupa rozumiała, że wiarę należy świadczyć czynami. A tymczasem nietylko w walce o niepodległość trzeba było o tej prawdzie wiedzieć i dawać jej czynny wyraz; — po zdobyciu niepodległości żadna pod tym względem zmiana nie zaszła: — państwo żyje i żyć może tylko w oparciu o czynną wiarę obywateli. Oni to, zjednoczona wiarą we własne państwo powszechność obywatelska, stanowią tego państwa treść, oni są tem państwem. Może komu innemu nie trzeba byłoby przypominać o takim elementarnym fakcie, stanowiącym podstawowy składnik pojęcia państwa, ale społeczności polskiej, która przez sto lat zgórą uczyła się przeciwstawiać pojęcia narodu i państwa, mając zawsze więcej sentymentu dla pojęcia naród aniżeli dla pojęcia państwo, tej społeczności, która nawet za czasów swego niepodległego bytu nie miała dostatecznego wyrobienia państwowego, tej społeczności wreszcie, która składa się nietylko z większości polskiej, ale nadto z szeregu grup mniejszościowych, tej społeczności trzeba koniecznie przypomnieć, że „państwo jest wspólnem dobrem wszystkich obywateli".

W tej prawdzie tkwią trzy spostrzeżenia: jedno dotyczy wspólności, drugie pojęcia dobra, trzecie wreszcie — powszechności obywatelskiej. Wspólność zachodzi tam, gdzie pewna liczba ludzi uczestniczy w jakimś zbiorowym stosunku. Dobrem jest nietylko to, z czego ciągniemy korzyści, ale przedewszystkiem to, co wytwarzamy własną pracą. Państwo jest dobrem w tem właśnie rozumieniu podwójnem, — chodzi tu nietylko o to, że człowiek osiąga korzyści z faktu swej przynależności do państwa, ale przedewszystkiem o to, że wszyscy ludzie składają się czynami swemi na istnienie tego dobra wspólnego, — że wszyscy biorą za państwo, za jego byt, rozwój, za jego dzień dzisiejszy i za jego przyszłość na siebie odpowiedzialność. Wreszcie powszechność obywatelska obejmuje wszystkich obywateli państwa, nie wyłączając nikogo od udziału w zbiorowem dziele, bo państwo jest w pewnym sensie dziełem zbiorowem. Świadomość tego udziału i tej odpowiedzialności powinna być właściwa wszystkim, którzy wchodzą w skład państwa, którzy są jego obywatelami. Ich ambicją osobistą, ambicją każdego poszczególnego obywatela i każdej grupy obywateli, każdego zawodu, pokolenia, każdej regjonalnej, językowej, wyznaniowej, narodowościowej grupy powinno być dążenie do tego, aby to wspólne ich dobro było dobrem najlepszem. Rozbijanie jedności państwowej przez mniejszość, czy nawet przez większość, w ich dążeniach do rasowej czy innej grupowej wyłączności, jest pomniejszaniem tego wspólnego dobra.

Dlatego to w Polsce, gdzie myślenie kategorjami państwowemi jest jeszcze rzeczą nową, gdzie zdrowa ambicja państwowa musi jeszcze staczać ciężkie walki z ciasnotą różnego rodzaju separatyzmów mniejszościowych i większościowych, trzeba o tej podstawowej prawdzie przypominać.

Trzeba przypominać także, że nie chodzi tu tylko o wartości materjalne albo o formuły prawne, ale także o głęboką moralną treść, jaka się zawiera w powszechnej wspólności obywatelskiego życia, w państwie. Trzeba przypominać, że był czas niewoli i sromoty, kiedyśmy własnego państwa nie mieli, że podówczas walkę o to państwo, walkę pełną poświęcenia i ofiary podejmowali ludzie, otoczeni naszą powszechną czcią, że oni właśnie stali się symbolem naszej nieśmiertelności narodowej i państwowej, wyobrazicielami najwyższych naszych wartości moralnych. Trzeba przypominać, że jedynym prawdziwym wyrazem należnej ich zasłudze i ofierze czci jest czynna troska o utrzymanie, o pomnożenie zdobytego przez nich dobra, że znowu jest to zagadnienie leżące w sferze wartości moralnych. Nie wolno trwonić, uszczuplać, obniżać otrzymanego dziedzictwa, trzeba je utrzymać, wzbogacić, wzmóc.

Taka jest treść pierwszego artykułu Konstytucji. Taka jest również myśl przewodnia wszystkich jej postanowień.

To też ani tego ani innych zawartych w pierwszych dziesięciu artykułach postanowień deklaracyjnych nie można uważać za zbędne definicje doktrynalne, które mogłyby być wywnioskowane przez teoretyka z normatywnych przepisów dalszych działów Konstytucji. Poza podstawowym charakterem moralnym, mają te postanowienia znaczenie założeń ideowych, na których się opiera cała budowa państwa, — dopiero w zestawieniu z temi założeniami nabiera właściwego znaczenia także każdy poszczególny przepis, dotyczący czy to organizacji, czy funkcjonowania urządzeń państwowych, czy wreszcie roli obywatela w państwie, jego praw i obowiązków.

Wszystkie postanowienia pierwszych dziesięciu artykułów łączą się w całość ideologicznej koncepcji, uzupełniają się wzajem i tworzą zwarty system, związaną wewnętrznie podstawę, na której opiera się mocno cała konstrukcja państwa społecznego, jakiem ma być według tej Konstytucji Państwo Polskie; — albo raczej trzeba powiedzieć, że Państwo Polskie musi być takiem właśnie państwem społecznem, jeśli ma spełnić swoje zadania, że Konstytucja nowa stara się tylko prawdę tę ujawnić i dać formalny wyraz temu, czego już sam bieg życia domaga się w sposób natarczywy i przemożny.

Analiza tego systemu, rozważenie tych poszczególnych założeń ideowych będzie oczywiście przedmiotem omawianym wielokrotnie i wszechstronnie, obecnie chciałem dotknąć tylko ogólnego ich znaczenia i roli, jaką grają w ustawie konstytucyjnej. Z tej właśnie roli i znaczenia dziesięciu pierwszych artykułów Konstytucji, które możnaby nazwać polską deklaracją państwową, wynika jeszcze jedna konsekwencja.

Będąc podstawą ideową państwa, niejako katechizmem obywatelskim, muszą one wejść głęboko w świadomość społeczną, więcej jeszcze, muszą one stać się treścią poczucia obywatelskiego Polaków, treścią ich wiary i wytyczną ich czynów. Nietylko tam, gdzie trzeba będzie zastanawiać się nad znaczeniem jakiegoś przepisu ustawowego, właściwe jego rozumienie będzie to, które będzie zgodne z zasadami deklaracji ideowej, — ale i miarą każdego czynu społecznego będzie jego zgodność z temi zasadami.

Dalsze przepisy konstytucyjne są rozwinięciem i zastosowaniem tych założeń ideowych, ale one same mają szersze znaczenie. Dlatego też zostały one tak ujęte i ułożone, aby mogły być prosto i łatwo dostępne dla każdego, aby każdy mógł je poznać, przeniknąć się ich treścią i kierować się ich nakazami w postępowaniu.

Prawdą jest bowiem, że dopiero w czynach ludzi nabierają życia normy prawne. Wielkie przeobrażenia społeczne XX wieku polegają przedewszystkiem na zasadniczej zmianie stosunku człowieka do społeczności ludzkiej. Deklaracja ideowa Państwa Polskiego stara się dać obywatelowi zasadnicze wskazania, na których się ten stosunek ma opierać. Jak wszystkie prawdy, jest ona prosta, tak prosta, że aż dziwną się wydawać może potrzeba wypowiadania prawd tak prostych. A skoro już wypowiedziane zostały, trzeba teraz tylko, aby zostały w czynach ludzkich, w czynach wszystkich obywateli Państwa Polskiego urzeczywistnione.

Bowiem te prawdy to tylko wskazania ideowe, za niemi idą prawne przepisy ustawy konstytucyjnej, za niemi pójdą jeszcze inne ustawy, składające się na całość ładu prawnego w państwie, — ale wszystko to nabiera życia dopiero w czynie.

*WACŁAW MAKOWSKI*

# *OPINJE JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO**

*...Naród polski przez półtora wieku zmuszany był stosować się do praw, narzuconych przez obcą przemoc. Nie mogąc unormować swego życia według własnej woli, zatracił przez ten długi okres poczucie prawa i wiarę we własne siły.*

*Obdarzeni dziś zaufaniem narodu, dać mu macie podstawy dla jego niepodległego życia w postaci prawa konstytucyjnego Rzeczypospolitej Polskiej. Na tej podstawie utworzycie Rząd, oparty o prawa, przez wybrańców narodu ustanowione. Prawa, przez was uchwalone, będą początkiem nowego życia wolnej i zjednoczonej Ojczyzny...*

*(10 lutego 1919 r.)*

*...Wśród olbrzymiej zawieruchy, w której miljony ludzi rozstrzyga sprawy jedynie gwałtem i przemocą, dążyłem, by właśnie w naszej Ojczyźnie konieczne i nieuniknione tarcia społeczne były rozstrzygane w sposób jedynie demokratyczny: zapomocą praw, stanowionych przez wybrańców narodu...*

*(20 lutego 1919 r.)*

*...Prawica gdzieindziej charakterystycznie dąży do zmniejszenia siły i potęgi parlamentaryzmu na rzecz władz wykonawczych, u nas zaś najwybitniejszymi przedstawicielami rozwydrzenia partyjnego i oparcia wszystkiego w Polsce na prawach i przywilejach panów posłów i senatorów jest nie kto inny, jak tak zwana prawica. Także autorem Konstytucji, obierającej władzę wykonawczą z wszelkich cech siły na rzecz „złotych wolności" posłów i senatorów, jest właśnie prawica...*

*...System Konstytucji, która została uchwalona przez sejm konstytucyjny, dał w ręce panów posłów i senatorów tyle przywilejów i tyle sposobów zatamowania każdej pracy w Państwie, że — zdaniem mojem — każdy prezydent jest skazany na męczeństwo...*

*(26 maja 1926 r.)*

*...Wszyscy u nas ciągle mówią, jak zresztą i wszędzie, że potrzebny jest silny rząd. Lecz cóż stanowi istotę silnego rządu? Istotę siły stanowi decyzja, pobierana w odpowiednim dla efektu działania czasie. Siły inaczej przedstawić sobie nie mogę. I zgoda — niech według zasad demokracji za tę silną decyzję rząd będzie odpowiedzialny. Ale niech ma możność decydować, niech ma za co odpowiadać...*

*(28 maja 1926 r.)*

* Józef Piłsudski: *Pisma Wybrane*. Wydanie drugie. Towarzystwo Kultury i Oświaty, Warszawa 1934. Str. 192, 194, 286—287, 288, 291—292.

# Z UWAG O NOWEM PAŃSTWIE

Wojna stworzyła wielki przełom w stosunkach, ogarniających świat cały. Nastąpił szereg głębokich przeobrażeń; przeobrażenia te przedewszystkiem wyraziły się w niesłychanym rozwoju techniki. Rozwój techniki oddziałał zkolei na życie gospodarcze. Równowaga życia gospodarczego została naruszona i powstał kryzys, który trwa do dziś dnia. Załamały się stosunki, które charakteryzowały życie gospodarcze przed wojną, co znowu doprowadziło w konsekwencji do zaostrzenia kwestji socjalnej i powstania bezrobocia, które jest jednym z najtrudniejszych problemów do rozwiązania. Tym sposobem całe życie gospodarcze i społeczne uległo głębokim przemianom.

Ale wojna wywołała przewrót nietylko w dziedzinie życia gospodarczego i społecznego; nastąpiły również bardzo głębokie przemiany w dziedzinie stosunków politycznych. Wiele państw pod względem swojego statutu terytorjalnego uległo uszczupleniu. Czy to weźmiemy Niemcy, czy Austrję, czy Węgry — to państwa te zostały terytorjalnie ograniczone. Pozatem, w konsekwencji wojny, powstał szereg nowych państw: Polska, Czechosłowacja, Litwa, Łotwa, Estonja i Finlandja. Inne znów państwa uległy głębokim przeobrażeniom politycznym: wskażę tutaj na Rosję Sowiecką i na Włochy.

Ale przemiany, które wywołała wojna, nie ograniczyły się tylko do życia politycznego: ogarnęły one całokształt życia ludzkiego i wtargnęły nawet do stosunków, normujących formy współżycia pomiędzy ludźmi, do stosunków familijnych, towarzyskich i religijnych.

To są te głębokie przemiany, które się dokonały w konsekwencji wielkiej wojny. I można powiedzieć, że jesteśmy jakgdyby na przełomie dziejów. Skończyła się epoka, którą rozpoczęła rewolucja francuska w końcu XVIII wieku i która najbardziej, najjaskrawiej i najpełniej charakteryzuje wiek XIX; z trudem wyłania się z chaosu, choć jeszcze w mglistych konturach, jakaś nowa i nieznana przyszłość. Możnaby powiedzieć, że jesteśmy u progu nowej cywilizacji. Ale w jakim kierunku pójdzie dalszy rozwój, tego jeszcze przewidzieć niepodobna. Jeżeli ludzkość znajdzie w sobie moc i genjusz, który jej wskaże drogę wyjścia z impasu, w jakim się znalazła, w takim razie świat się odrodzi; ale jeśli ludzkość nie zdobędzie się na wykrzesanie z siebie tego genjuszu, to okres przełomu może trwać jeszcze długie lata.

Jeśli taką jest sytuacja świata, jeśli istotnie nastąpiły głębokie zmiany, to zapytuję, czy te zmiany mają związek z zagadnieniem ustroju państwa? Zapytuję, czy państwo powojenne ma do spełnienia taką samą rolę, jaką odgrywało w czasach przedwojennych?

Zdaje mi się, że rola państwa uległa również bardzo głębokim przemianom; funkcje państwa, jego zadania i cele bardzo się skomplikowały i są obecnie znacznie bardziej złożone. Dziś już nie wystarcza, aby państwo zajmowało się tylko utrzymywaniem ładu i bezpieczeństwa, nie wystarcza, aby państwo zabezpieczało mienie i życie obywateli, i nie wystarcza, aby państwo spełniało w dotychczasowych skromnych rozmiarach funkcje, które spełniało przed wojną, czy to w zakresie gospodarczym, czy też w zakresie troski o potrzeby kulturalne i oświatowe ludności. Funkcje obecne państwa są znacznie bardziej zróżniczkowane. Dziś życie gospodarcze wymaga, aby państwo mogło w nie wtargnąć ze swoją władzą i aby regulowało stosunki, które się coraz bardziej wikłają. Warunki produkcji uległy zmianie. Państwo musi się troszczyć o normowanie cen, o wyszukiwanie rynków zbytu, ułatwianie eksportu, regulowanie zagadnień socjalnych, obrotu ziemią, stosunku pomiędzy wierzycielem a dłużnikiem, pomiędzy właścicielem nieruchomości a lokatorem. Dochodzą tu jeszcze te szczególne warunki, w jakich się państwo znalazło ze względu na swoją strukturę wewnętrzną, trudności w uporaniu się około utrzymania równowagi budżetowej, normowania stosunków walutowych i t. p.

To, co powyżej nadmieniłem, nie jest przecież nawet w drobnej części wyczerpaniem wszystkich zadań, które spadają na państwo współczesne. Ale już z tego wyliczenia widać, jak daleko odbiegają stosunki obecne, stosunki powojenne, od tego stanu rzeczy, jaki istniał przed wojną, jak dalece zróżniczkowały się funkcje społeczne i jak dalece w związku z tem rozbudować się musiały zadania państwa.

Otóż jeżeli państwo ma nowe funkcje do spełnienia, to zapytuję, czy może ono być oparte na takich samych podstawach ustrojowych, na jakich opierało się państwo przedwojenne?

Państwo przedwojenne tworzyło się u schyłku XVIII wieku. U jego podstawy legły doktryny liberalizmu politycznego i liberalizmu gospodarczego. Przewodziła zasada lesseferyzmu. Państwo pozostawiało spełnianie funkcyj społecznych, gospodarczych i wszelkiego innego rodzaju inicjatywie jednostki. Państwo nie troszczyło się o te dziedziny. Ale to rozszerzenie zasięgu wpływów państwa nie jest tylko dążeniem państwa, nie jest tylko dążeniem władzy do ekspansji; to jest głos, płynący od społeczeństwa. Społeczeństwo się samo domaga, ażeby państwo ingerowało w stosunki, które dawniej były wyjęte z pod jego kompetencji.

Jest olbrzymia różnica pomiędzy tym interwencjonizmem państwowym, jakiego dziś domaga się od państwa społeczeństwo, a tym interwencjonizmem, który, powiedzmy, charakteryzował państwo absolutne, choćby to był nawet absolutyzm oświecony. Tam istotnie ingerencja państwa była zbędna, tam istotnie nie było potrzeby, ażeby państwo ingerowało w stosunki, które i bez jego udziału mogły się były ułożyć w sposób dostateczny i zadowalający. Dziś odwrotnie, robi się zarzut państwu, że ono nie wtarga w dziedziny, które wówczas z pod ingerencji i wpływów władzy państwowej były wyjęte.

W tych warunkach opieranie się na doktrynie liberalizmu gospodarczego, czy społecznego wystarczyć nie może. I jeżeli mówi się obecnie o kryzysie ustrojowym, to jest to zagadnienie znacznie głębsze, niżby się na pierwszy rzut oka wydawać mogło. To nie jest już tylko jakieś drobne niedomaganie, oparte na wadach parlamentaryzmu. To nie jest niedomaganie, polegające na tem, że ta czy inna instytucja państwowa źle działa, powiedzmy, z powodu zbyt wielkiej łatwości obalania rządów. Gdyby cała trudność w rozwiązaniu zagadnień ustrojowych ograniczała się li tylko do tego szczegółu, to istotnie moglibyśmy wtedy mówić tylko o naprawie istniejącego ustroju, ale nie potrzebowalibyśmy schodzić z platformy zasadniczej, moglibyśmy utrzymać nadal najistotniejsze zręby ustroju parlamentarnego. Ale, niestety, kryzys sięga głębiej, bo z pod tych form ustrojowych, na których się opierało państwo przedwojenne, usunął się grunt, grunt społeczny, na którym musi się bazować zawsze racjonalny ustrój państwowy. W rezultacie przeobrażeń społecznych, na których się nowe państwo powojenne opierać będzie musiało, mamy głębokie przesilenie pod względem form ustrojowych. Parlamentaryzm już dzisiaj należy do przeszłości; niema zdrowych podstaw, ażeby można go było utrzymać nadal.

Ale, jeżeli parlamentaryzm nie może dzisiaj spełnić roli, jaką spełniać powinien, jako system, regulujący stosunki życia publicznego wewnątrz państwa, jeżeli z tego powodu jest głębokie niezadowolenie, to dzięki prawu reakcji musiały powstać jakieś inne formy, inne rozwiązania.

W jakimże kierunku poszły te rozwiązania? Jak to często się zdarza, krańcowości się stykają. Kierunek się przerzucił od bieguna do bieguna: od parlamentaryzmu, opierającego się na doktrynach liberalistycznych, przerzucono się do dyktatury.

I znowu zapytuję: czy to jest dobre rozwiązanie?



Stanisław Car

Czy dyktatura jest w stanie rozwiązać te trudne zagadnienia, które stają wobec nowego państwa?

Na to pytanie odpowiadam: nie!

Parę słów pragnę poświęcić temu zagadnieniu. A więc przedewszystkiem, gdzie rodzą się, gdzie powstają dyktatury? Czy one powstają tam, gdzie państwo jest na pewnym poziomie pomyślności, gdzie życie rozwija się mniej lub więcej normalnie? Odpowiadam znowu: nie!

Dyktatury powstają tam, gdzie istnieje jakiś głęboki społeczny, polityczny, czy innego rodzaju ferment. W chronologicznym porządku na pierwszem miejscu stoi przewrót, który dokonał się w Rosji. Tam już w roku 1917 powstała dyktatura proletarjatu. I skąd się ona zrodziła, tego chyba tutaj wyjaśniać nie potrzeba. Wiemy, do jakiego rozprzężenia doszły stosunki w Rosji carskiej. Ale idźmy dalej. W 1923 roku powstała dyktatura, tym razem już nie klasy, ale człowieka, w innem państwie — we Włoszech. I znowu, dlaczegóż tam powstała dyktatura? Wiemy, jakie wypadki wywołały powstanie dyktatury faszystowskiej we Włoszech. Zagrażało Włochom głębokie przesilenie społeczne, mianowicie komunizm, opanowanie państwa przez elementy wywrotowe.

Tak samo nie z czego innego, jak tylko z rozprzężenia stosunków wewnętrznych i z poczucia przegranej wojny urodziła się dyktatura hitlerowska w Niemczech.

Kiedy już mówimy o dyktaturach, to nie chcę przykrywać listkiem figowym tego, co się dzieje w Polsce. Stawiam otwarcie zapytanie: czy w Polsce jest dyktatura? Na pytanie to odpowiem szczerze: według mego najgłębszego przekonania w Polsce dyktatury niema i nigdy jej nie było. Bo uważam, że nie może być dyktatury tam, gdzie niema dyktatora.

W Polsce niema dyktatora!

Józef Piłsudski nigdy nie był dyktatorem!

Jeżeli wezmę jeszcze pod uwagę to, że Józef Piłsudski, który skupił w swoich rękach pełnię władzy państwowej, odszedł dobrowolnie w r. 1922 do swego zacisza w Sulejówku, jeżeli weźmie się pod uwagę również i to, że Józef Piłsudski, skupiwszy po raz drugi pełnię władzy w Polsce w r. 1926, ograniczył się jednak do skromnej roli ministra spraw wojskowych i jeżeli Józef Piłsudski nie wykonywa władzy sam, zazdrośnie, lecz stara się do życia państwowego pociągnąć zdrowe siły, tkwiące w społeczeństwie, to mam prawo twierdzić, że Józef Piłsudski nie jest dyktatorem. A jeżeli Józef Piłsudski nie jest dyktatorem, to nie może być mowy o dyktaturze w Polsce. Dla mnie Józef Piłsudski nie jest dyktatorem; jest natomiast wielkim autorytetem moralnym.

Ażeby skończyć już z tym tematem, powtarzam raz jeszcze, rozwiązanie, którego szukają niektóre państwa poza Polską, a mianowicie przejście od ustroju parlamentarnego do dyktatury, uważam za niefortunne, ponieważ dyktatura nie czyni zadość potrzebom nowoczesnego państwa. Zagadnienie jest napewno bardzo poważne i wymaga bardzo głębokiego rozważenia. Nie jest w tej chwili pora, ażeby przytaczać wszystkie zarzuty, jakie można postawić dyktaturze. Zwrócę uwagę tylko na dwa.

Otóż dyktatura w mojem rozumieniu ma tę najważniejszą wadę, że opiera się na jednostce i jest całkowicie z nią związana. Załamanie się tej jednostki może wywołać także załamanie się całego systemu. A więc dyktatura zawiera moment nietrwałości i to jest pierwszy zarzut, który stawiam dyktaturze. A zarzut drugi jest

# *KONSTYTUCJA 23 MARCA 1935 R.*

## *I. RZECZPOSPOLITA POLSKA*

### *ART. 1.*

*1) Państwo Polskie jest wspólnem dobrem wszystkich obywateli.*

*2) Wskrzeszone walką i ofiarą najlepszych swoich synów, ma być przekazywane w spadku dziejowym z pokolenia w pokolenie.*

*3) Każde pokolenie obowiązane jest wysiłkiem własnym wzmóc siłę i powagę Państwa.*

*4) Za spełnienie tego obowiązku odpowiada przed potomnością swoim honorem i swojem imieniem.*

### *ART. 2.*

*1) Na czele Państwa stoi Prezydent Rzeczypospolitej.*

*2) Na Nim spoczywa odpowiedzialność wobec Boga i historji za losy Państwa.*

*3) Jego obowiązkiem naczelnym jest troska o dobro Państwa, gotowość obronną i stanowisko wśród narodów świata.*

*4) W Jego osobie skupia się jednolita i niepodzielna władza państwowa.*

### *ART. 3.*

*1) Organami Państwa, pozostającemi pod zwierzchnictwem Prezydenta Rzeczypospolitej, są: Rząd, Sejm, Senat, Siły Zbrojne, Sądy, Kontrola Państwowa.*

*2) Ich zadaniem naczelnem jest służenie Rzeczypospolitej.*

### *ART. 4.*

*1) W ramach Państwa i w oparciu o nie kształtuje się życie społeczeństwa.*

*2) Państwo zapewnia mu swobodny rozwój, a gdy tego dobro powszechne wymaga, nadaje mu kierunek lub normuje jego warunki.*

*3) Państwo powoła samorząd terytorjalny i gospodarczy do udziału w wykonywaniu zadań życia zbiorowego.*

### *ART. 5.*

*1) Twórczość jednostki jest dźwignią życia zbiorowego.*

*2) Państwo zapewnia obywatelom możność rozwoju ich wartości osobistych oraz wolność sumienia, słowa i zrzeszeń.*

*3) Granicą tych wolności jest dobro powszechne.*

### *ART. 6.*

*Obywatele winni są Państwu wierność oraz rzetelne spełnianie nakładanych przez nie obowiązków.*

### *ART. 7.*

*1) Wartością wysiłku i zasług obywatela na rzecz dobra powszechnego mierzone będą jego uprawnienia do wpływania na sprawy publiczne.*

*2) Ani pochodzenie, ani wyznanie, ani płeć, ani narodowość nie mogą być powodem ograniczenia tych uprawnień.*

### *ART. 8.*

*1) Praca jest podstawą rozwoju i potęgi Rzeczypospolitej.*

*2) Państwo roztacza opiekę nad pracą i sprawuje nadzór nad jej warunkami.*

### *ART. 9.*

*Państwo dąży do zespolenia wszystkich obywateli w harmonijnem współdziałaniu na rzecz dobra powszechnego.*

### *ART. 10.*

*1) Żadne działanie nie może stanąć w sprzeczności z celami Państwa, wyrażonemi w jego prawach.*

*2) W razie oporu Państwo stosuje środki przymusu.*

ten, że dyktatura nie umie spożytkować zdrowych sił, które tkwią w społeczeństwie, a mianowicie nie wyzyskuje inicjatywy jednostki. Wśród elementów, któremi rozporządza państwo, elementem najcenniejszym, elementem najwartościowszym jest człowiek. Tego człowieka — obywatela dyktatura nie umie wpleść w orbitę swojej pracy i to jest drugi zasadniczy błąd ustroju dyktatorjalnego. Mimo to jednak, że odnoszę się do zagadnienia dyktatury w sposób zdecydowanie negatywny, uważam, że nad tem zagadnieniem nie może przejść obojętnie ten, kto ma się zająć zaprojektowaniem nowego ustroju. Gdyby dyktatura powstała tylko w jednem państwie, to możnaby było przyjść do przekonania, że ona jest wynikiem aspiracyj jednostki ambitnej, albo wynikiem jakiegoś przygodnego, mającego tylko lokalne źródła, przesilenia wewnętrznego danego kraju. Ale dyktatura w okresie powojennym szerzy się nagminnie, w sposób zupełnie niespotykany. Cały szereg państw żyje w jawnym ustroju dyktatorskim. Istnieją także dyktatury mniej lub bardziej ukryte. Zagadnienie przybiera na znaczeniu; to już nie jest zjawisko oderwane — to jest symptom.

Czemże można to wytłumaczyć? Wytłumaczyć to można chyba tylko tem, że dyktatura jest wyrazem niezadowolenia ze stanu rzeczy, jaki istniał przedtem, jest protestem przeciwko stosunkom dotychczasowym.

Jest książka francuskiego uczonego, profesora uniwersytetu paryskiego, Józefa Barthélemy *La Crise de la démocratie contemporaine*. W tej książce Barthélemy, który deklaruje się jako zupełnie zdecydowany zwolennik parlamentaryzmu, opisuje, jak wyglądają dyktatury w poszczególnych krajach. I my tam mamy poświęcony sobie rozdział, aczkolwiek chciałbym ubocznie dorzucić, że Barthélemy ma dużo kłopotu z Polską, bo nie może się zdecydować, czy w Polsce jest, czy też niema dyktatury. Opisuje on stan prawny państw, rządzonych metodami dyktatorskiemi, i zastanawia się, jaka jest przyczyna, że w dobie powojennej powstało tyle dyktatur w Europie. Barthélemy przychodzi do przekonania, że to nie jest rzecz przygodna, że ten stan rzeczy jest wynikiem pewnego procesu dziejowego, protestem przeciwko ustrojowi parlamentarnemu.

A więc konkluzja. Z jednej strony ustrój parlamentarny nie spełnił roli, która mu w udziale przypadła, z drugiej — zagadnienie ustroju nie znalazło rozwiązania zadowalającego przez powstanie dyktatur. Z tego względu powstał głęboki kryzys ustrojowy. Świat poszukuje nowych form; tych form, jak dotąd, państwa jeszcze nie znalazły. [1]

*STANISŁAW CAR*

[1] St. Car: *Na drodze ku nowej konstytucji.* Warszawa. F. Hoesick, 1934. Str. 177—184.

# PAŃSTWO LIBERALNE — PAŃSTWO CAŁKOWITE — PAŃSTWO POLSKIE

Doświadczenie wyższych form zbiorowego bytu, czyli *doświadczenie państwowe*, przejęły narody europejskie z śródziemnomorskiego kręgu kultury klasycznej. Doświadczenie to, podane teoretycznie, można wszak dziś jeszcze czytać na kartach dzieł Platona, Arystotelesa, Polybiosa i Cicerona; ale jeszcze więcej przemawiać ono będzie do nas zawsze podane praktycznie w żywotach wielkich mężów stanu greckich i rzymskich.

Zbiorowość ta państwowa przybierała różne formy; od autarchicznej, niemal bezterytorjalnej gminy, gdzie 10 tys. obywateli stanowiło niemal maksymalną górną granicę zespołu zorganizowanego w organicznym samorządzie na płaszczyźnie wspólnej normy prawnej, aż po imperjum uniwersalne, obejmujące — przynajmniej terytorjalnie — cały świat; od skrajnego demokratyzmu, nie tolerującego innej woli poza wolą zgromadzonego ogółu i innych władz poza losem powołanych, aż do najwyższego absolutyzmu ubóstwionej jednostki. Zawsze jednak w państwie klasycznem dopatrzymy się tej całkowitości, która jest obca naszemu własnemu — Europejczyków wychowanych w ideach XIX w. — doświadczeniu i pojmowaniu państwowemu, a którą można wyrazić w zasadzie bezwzględnego, zupełnie niekompromisowego podporządkowania jednostki zbiorowości, której wolę wyraża bądź to zgromadzona masa, bądź też jej hypostaza — boska jednostka. W dwóch antytetycznych ujęciach tej zasady zawiera się *wszelkie możliwe* doświadczenie państwowe, od zupełnego społecznego samorządu wolnego zespołu, aż po despocję, niwelującą wszelkie samorządy na podległym sobie terenie i władającą nad społeczeństwem niewolników. I w jednym jednak i w drugim ekstremie wyraża się to państwo jako ta sama idea organizująca, *państwo*, nie będące czemś odmiennem od społeczeństwa, tylko stanowiące niezbędną dla rozwoju społeczeństwa formę jego świadomego istnienia.

Ta forma poszła w gruzy razem z kulturą antyczną, ale objawia się nam odtąd stale w jej nieustannych renesansach.

•

Ludzie średniowiecza żyli na gruzach świata antycznego, bądź to burzonego przez ich przodków, bądź też niedostatecznie przez nich bronionego. Formacje państwowe — poza Bizancjum — rozwijały się na okruchach spuścizny państwowej tego świata, bądź też stanowiły formacje najazdu barbarzyńców, organizujących zasiąg swych zdobyczy. Nomadyczny charakter inwazyj barbarzyńców, szukających sobie nowych ojczyzn, przejawia się najżywiej w ich koncepcjach państwowych, zwłaszcza w zasadzie feudalnej, czyniącej państwo sprawą prywatną panującego, dzielącego się conajwyżej swemi zdobyczami ze swoją zbrojną drużyną. Wypływa stąd pojmowanie państwa jako czegoś odmiennego od społeczeństwa i jemu obcego; zkolei społeczeństwo szuka sobie form samoobrony przed gwałtami ze strony państwa i organizuje je często przy pomocy Kościoła.

Wprawdzie państwa średniowieczne karmią się, jak wyżej stwierdzono, okruchami myśli państwowej antycznej, starają się w tej lub innej postaci nawiązywać do tradycyj państwowych cesarstwa rzymskiego (boć nawet nasi Piastowie budują swą monarchję słowiańską jako *duces* lub *patricii* rzymscy!) Nad renesansem państwa klasycznego pracują owocnie *legiści*, przywracający ciągłość starego prawa. Ale dla ludzi średniowiecznych państwo antyczne pojawiało się zawsze tylko jako renesans despocji późno-rzymskiej, użyteczny dla ich władców i łatwy do pogodzenia z ich własnemi koncepcjami; renesans taki, ułamkowy, nigdy nie zdołał przekreślić dualizmu *państwo—społeczeństwo*, ani nie umiał wpoić w świadomość Europejczyków pojęcia władzy-magistratury. Odnosi się to i do *państwa* par excellence *renesansowego*, uzasadnionego teoretycznie przez publicystów XV w., rozbudowanego praktycznie w dobie oświeconego absolutyzmu. I ono także nie było — w odróżnieniu od państwa antycznego — państwem *socjalnem*.

Tam też, gdzie renesans sięgnął poprzez tradycje cesarstwa rzymskiego do starszej szychty rzymskiego republikanizmu i starał się naśladować jej instytucje — w naszej, tworzonej przez Zamoyskich, szlacheckiej rzeczypospolitej, lub w republice weneckiej — tam zdobywał się tylko na *karykatury republiki rzymskiej*.

•

Rewolucja wolnościowa burżuazji francuskiej i innych burżuazyj obaliła w końcu XVIII w. to państwo renesansowe we Francji, przekształciła je w ciągu XIX w. w innych krajach, realizując państwo *liberalne*. We Francji w rewolucji tej ujawnił się też pewien renesans; rewolucjoniści karmili się ideami republiki rzymskiej, podczas gdy Bonaparte przybrał postać Cezara. Nie te idee decydowały jednak o kształtowaniu nowych form państwowych, ale gospodarcze potrzeby środowisk mieszczańskich, głoszących w tej zwłaszcza dziedzinie pełną swobodę prywatnych dyspozycyj jednostki, a także ich średniowieczne tradycje, to jest tradycje buntu komun przeciwko *państwu zdobywców*, uosobionemu przez książąt i możnowładztwo, czyli jak to klasycznie wyrażali ludzie XVIII w. oczytani w literaturze łacińskiej — przez tyranów i despotów.

Państwo liberalne nie reprezentuje też koncepcji państwa socjalnego, jako samorządu tworzącej je grupy; do utworzenia takiego państwa dojść nie mogło, kiedy środowiska mieszczańskie powtarzały za Godwinem, że „każdy rząd jest zły“; w rządzie więc, w państwie widziały tylko *zło konieczne*. Stąd zakaz wtrącania się aparatu państwowego do spraw prywatnych obywateli; zadaniem jego staje się natomiast obrona porządku, umożliwienie obywatelom spokojnego zajmowania się swemi prywatnemi sprawami. „Obywatelom“ a w praktyce „klasom posiadającym“. W stosunku bowiem do warstw wydziedziczonych przez kapitalizm, państwo liberalne zawsze umiało być srogie, jak państwo średniowiecznych najeźdźców w stosunku do ludności podbitej. Stąd w państwie liberalnem była całkiem prawdziwa definicja Marxa „państwa jako organu jednych klas do panowania nad innem“. Zkolei socjaliści przejęli liberalno-mieszczańskie odczuwanie państwa jako formacji obcej i narzuconej społeczeństwu, przekazane, jak to widzieliśmy, ze średniowiecznych doświadczeń ludności Europy.

•

Dopiero kryzys ustrojowy naszych czasów przynosi nowe ruchy rewolucyjne, które świadomie — jak faszyzm włoski — lub bezwiednie realizują antyczną koncepcję państwa. Walcząca zbiorowość — taką jest *il partito*, *kompartja* etc. (jednem słowem, używając uzasadnionej gdzieindziej terminologji, *partja-zakon)*, utożsamiająca się ze społeczeństwem, z którego całkowicie eliminuje obce sobie i wrogie elementy, buduje swoje państwo jako *państwo socjalne*. Takie państwo — wzorem *polis* greckiej — nie może żadnej dziedziny życia zostawić prywatnej dyspozycji swoich obywateli. Dlatego rewolucja faszystowska głosi ustanowienie państwa, które możemy po polsku nazwać *całokształtowem* lub *całkowitem (stato totalitario, Totalstaat)*.

Proces tworzenia takiego państwa daleki jest jeszcze od zakończenia. Nie wiemy nawet, czy naszej generacji będzie danem doprowadzić go do końca. Państwo całkowite musi dokonać gruntownej przebudowy społecznej, musi bowiem dążyć do zlikwidowania podziałów klasowych. Państwo takie musi wykazać zdolność do twórczego regulowania zagadnień gospodarczych i kulturalnych. Taką ambicję posiada każde z państw, wyrastających w rewolucji ustrojowej XX w.; w gruncie rzeczy ograniczają się one tylko do doraźnych posunięć, mających na celu utrzymanie faworu mas, których poparcie umożliwiło grupie rewolucyjnej zdobycie władzy. Twórcze gospodarczo i kulturalnie jest naprawdę tylko jedno z tych państw: Sowiety; tamtejsze jednak realizacje mają charakter specjalny, ściśle związany z mongolskiem podłożem Eurazji. Rewolucja sowiecka stanowi proces, który nie mógłby się powtórzyć w żadnym z narodów Zachodniej Europy.

•

W Polsce nie ograniczamy się do obserwowania procesów ustrojowych, zachodzących w innych społeczeństwach. Nasza generacja jest jednak zdana w całości na własne zadanie: odbudowy Państwa, które — tutaj przyznamy rację szkole krakowskiej — nietylko przez najazdy sąsiadów upadło w końcu XVIII w. I jest ona temu zadaniu oddana.

Dla pokoleń, które o państwo walczyły, lub tylko o niem marzyły, nie ulegało wątpliwości, że Państwo Polskie odrodzi się zgodnie z receptami XIX w. jako *państwo liberalne*. Ku takiemu państwu wiodła nas ideologja wolnościowa, przyczem Polak w niewoli — na co nie zwraca się zwykle uwagi — tęsknił nietylko za wolnością narodu, ale nieraz i za wolnością prywatną, wolnością osobistych dyspozycyj, bo takiej wolności odmawiały mu rządy zaborcze. I podczas gdy na Zachodzie istniał od początków średniowiecza dualizm *państwo—społeczeństwo*, u nas w dobie bezpaństwowej wytworzyła się antynomja *państwo—naród* (t. zn. *obce* państwo i *własny* naród). Dlatego też oswojenie się z własnem państwem nie przyszło Polsce bez trudu.

Zdobyliśmy się tylko na karykaturę państwa liberalnego, tak jak w XVI w. tylko na karykaturę republiki rzymskiej. To nasze państwo liberalne upadło też w r. 1926.

Wytworzoną przez to próżnię wypełnia tylko żywa treść ludzka, wypełnia ją Piłsudski i Piłsudczycy. Natomiast nie wypełniła jej żadna doktryna. Wynika to może ze specyficznej polskiej niezdolności do stwarzania doktryn i ze zrozumiałej nieufności do doktryn obcych. A może też fakt ten znajduje swoje uzasadnienie w zrozumiałym zupełnie przeroście zainteresowań pokolenia niepodległości utrwaleniem wyników swoich walk i prac. Utrwalenie ich — to nadanie państwowości polskiej takiego zwartego kształtu, któryby zapewnił nam wywalczenie i utrzymanie należnego nam miejsca w rodzinie narodów europejskich.

Czy Polska *będzie* państwem całkowitem? Niewątpliwie tak, skoro państwo takie buduje cała Europa. Nie zapominajmy jednak o tem, co wyżej stwierdzono, że ta budowa dopiero się zaczyna. Państwa całkowite budują grupy rewolucyjne, „faszystowskie“. Budowa ich będzie doprowadzona do końca, kiedy urzeczywistni się w nich postulat samorządu społecznego, organicznego zespolenia *państwa wytwórców* z bezklasowem *społeczeństwem wytwórców*.

To ułatwia nam odpowiedź na pytanie, czy Polska *jest* państwem całkowitem. Niewątpliwie po r. 1926 przejęliśmy wiele cech państwa całkowitego, jak je realizuje rewolucja faszystowska w Europie. Przejęliśmy je, o ile nakazywało nam taką adap-




KRÓL STEFAN BATORY

Portret Stefana Batorego z r. 1576 pendzla jednego z malarzy florenckich. Obraz ten dotychczas był prawie całkowicie nieznany, albowiem znajdował się do ostatniej niemal chwili w prywatnych zbiorach pewnego arystokraty włoskiego, od którego odkupił go jeden z naszych rodaków, stale mieszkający w Rzymie. Obraz ten jest najbliższy portretu przechowywanego w bawarskich zbiorach państwowych, jest jednak od niego artystycznie znacznie lepszy. Obydwa są datowane z tego samego roku.

tację określone wyżej kryterjum polskiej racji stanu. Przejęliśmy więc je, aby trwać i aby wzrastać w siły. Ale zarazem zachowaliśmy tyle z państwa liberalnego, opartego na ideologji wolnościowej, ile można było z niego zachować bez narażenia rozwoju państwowej Polski na niebezpieczeństwo dalszych wstrząsów i schorzeń.

Urzeczywistniamy więc w Polsce niewątpliwie empiryczną koncepcję państwowości, którą cechuje duża elastyczność. Ta okoliczność niewątpliwie ogromnie ułatwia dalszą ewolucję Polski ku formom ustrojowym Europy przyszłości. Może ona odbywać się bez wstrząsów i w atmosferze spontanicznego narastania nowych instytucyj, które gdzieindziej narzuca się społeczeństwu wśród masowych rzezi i z wyrzucaniem opornych żywiołów na emigrację.

*KAZIMIERZ ZAKRZEWSKI*

# KONSTYTUCJE DAWNEJ RZECZYPOSPOLITEJ

Aż do końca w. XVIII, t. j. do chwili ogłoszenia Konstytucji 3-go maja, Polska nie posiadała jednolitej ustawy zasadniczej, ustalającej podstawy organizacyjne państwa, kompetencje władz zwierzchnich, prawa obywatelskie. Normy prawne, które określały ustrój państwa, składały się z szeregu przywilejów, statutów, uchwał sejmowych, które były wydawane w różnych czasach dla różnych spraw i kwestyj. Tok rozwojowy tych norm przedstawiał się w ten sposób, że umniejszały one stopniowo zakres władzy panującego — na rzecz tej części społeczeństwa, która uzyskiwała coraz to większe znaczenie polityczne, t. j. szlachty i duchowieństwa. Proces ten zaczął się już w w. XII i XIII. Wprawdzie w tym czasie ograniczenia władzy panującego (w zakresie spraw podatkowych i sądowych) miały charakter wyłącznie indywidualny (immunitet, udzielany posiadłościom magnackim i kościelnym), jednak właśnie z nich — przez coraz to większe i szersze ich stosowanie — powstały przywileje grupowe, dotyczące np. rodów rycerskich, a wreszcie — stanowe (np. t. zw. prawo rycerskie, które w w. XIV jest zasadniczem uprawnieniem każdego, kto wchodził w skład grupy szlacheckiej). Cechą zasadniczą tych przywilejów jest to, że posiadały one charakter negatywny, określały bowiem przedewszystkiem to, co było wyłączane z dotychczasowej kompetencji władzy panującego, pozostawiając na uboczu pozytywne rozwiązanie konsekwencyj, płynących z faktu ograniczenia władzy zwierzchniej. Te pozytywne rozwiązania były podejmowane na podstawie zwyczajów, jakie wytwarzały się na danem terytorjum i często przyjmowały charakter norm ogólnie obowiązujących, choć niegdyś nie były pod względem prawniczym specjalnie ustalane.

Z przywilejów indywidualnych wyrosły— począwszy od połowy w. XIV—przywileje ogólne, stanowe, dotyczące szlachty. I one posiadały charakter negatywny, określały bowiem to, czego królowi nie wolno czynić, odbierały mu stopniowo takie czy inne uprawnienia. Szereg takich postanowień, będących w pewnym stopniu jakgdyby uznaniem za powszechne dawniejszych uprawnień indywidualnych i panujących zwyczajów ziemskich, znajduje się w statutach Kazimierza Wielkiego. Właściwem jednak zapoczątkowaniem tego rodzaju przywilejów jest przywilej koszycki Ludwika Węgierskiego z r. 1374, określający wysokość podatku od gruntów włościańskich w dobrach szlacheckich, ustalający pewne przepisy, dotyczące wypraw wojennych szlachty i obsadzania urzędów ziemskich. Potem przywileje — coraz liczniejsze i szersze co do swej treści prawnej— posypały się jak z rogu obfitości. Każde ustępstwo ze strony szlachty w sprawach, które były objęte poprzedniemi przywilejami lub uznanemi zwyczajami, było opłacane przez panujących nowemi przywilejami. Obfituje w nie szczególnie wiek XV: od zagwarantowania przez króla specjalnych praw obywatelskich w przywilejach Jagiełły (r. 1422, 1425, 1430, 1433), poprzez przywileje, dotyczące organizacji sądownictwa, skarbowości, służby wojskowej — aż do zasadniczych przywilejów, określających kompetencje sejmików ziemskich (1454 r.) i sejmów (konstytucja *nihil novi* z r. 1505). Dołączyły się do tego pewne zwyczaje prawne, powstałe zgodnie z całokształtem rozwoju nowych instytucyj prawno-politycznych, jak np. zasada głosowania jednomyślnością w izbie poselskiej sejmu, późniejsze *liberum veto* i t. d.

Zawarte w powyższych przywilejach zasady, dotyczące ustroju państwa i jego zasadniczych organów, nie były ujęte nigdy w jeden wspólny akt, który odpowiadałby pojęciu ustawy zasadniczej, konstytucji — w nowoczesnem słowa znaczeniu. Spotykamy się tylko z zatwierdzeniami dawnych przywilejów, dokonywanemi przez nowych władców w chwili obejmowania tronu. Po raz pierwszy nieco bliżej sformułowano ogólne zasady ustroju państwa w t. zw. artykułach henrykowskich 1573 r., zatwierdzanych w następstwie (wraz z t. zw. *pacta conventa)* przez wszystkich elektów. I one miały charakter w głównej mierze negatywny, formułowały znów to, czego królowi czynić nie wolno, pośrednio jednak ustalały kompetencję sejmu i zakres uprawnień szlacheckich. W ściślejszem ujęciu weszły te zasadnicze punkty w skład t. zw. praw kardynalnych z r. 1768, t. j. takich norm prawnych, które miały być „wieczyście trwałe“ i nie podlegające zmianom. Wieczystość ich miała zapewnić „gwarancja“ Rosji!

Stan rzeczy, wytworzony przez praktykę owej epoki, dał — jak wiadomo — wyjątkowy wprost typ organizacji państwa, z niezmiernym przerostem wpływów szlacheckich (a ściślej: magnackich) na bieg spraw publicznych, z niespotykanem wręcz gdzieindziej osłabieniem władzy królewskiej. W rękach panującego pozostały też strzępki władzy ustawodawczej (poza tem, co zostało zastrzeżone wyłącznej kompetencji sejmów), wykonawczej i sądowej. Chaosowi politycznemu i gospodarczemu odpowiadał chaos ustrojowy.

Kres temu miała położyć Konstytucja 3-go maja. Tworzona wśród oddźwięków rewolucji francuskiej, oparta na zasadach monteskjuszowskich podziału władz, nie zrywała z tradycją ani zwyczajami prawnemi epoki poprzedniej. Raczej porządkowała — w ramach pewnych teoretycznych założeń— dotychczasowe zasady organizacyjne, wyznaczając jednak o wiele ściślej kompetencje panującego, tworząc nowe przepisy dla władzy wykonawczej i usuwając to, co było prawdziwą bolączką dawniejszego systemu, jak *liberum veto*, elekcje etc. Nie zrywała z ustrojem, wytworzonym jeszcze w średniowieczu, nie znosiła stanów, nie usuwała przewagi szlachty, była jednak poważnym krokiem naprzód w kierunku likwidacji (kończącego swe życie na Zachodzie) starego porządku. Od dawnych norm prawnych różniła się zasadniczo: kompetencje władz określała nie negatywnie, lecz pozytywnie. Władza ustawodawcza była oddana całkowicie w ręce dwuizbowego sejmu, władza wykonawcza w ręce króla i jego rady, zwanej strażą praw, przyczem ta władza „do pilnowania praw i onych pełnienia ściśle jest obowiązaną“. Rzeczą charakterystyczną było to, że owa straż, złożona z ministrów (powoływanych przez króla), prymasa i marszałka sejmu, była niemal niezależna od sejmu, bowiem ten ostatni mógł tylko większością 2/3 głosów usunąć ministra. Wprowadzano w ten sposób system rządów parlamentarnych, jednak bez nadmiernych uprawnień sejmu w zakresie powoływania członków rządu.

Nie mylili się twórcy Konstytucji, gdy na jej wstępie wypisywali te słowa, które do dziś dnia swej wartości nie straciły: „Uznając, iż los nas wszystkich od ugruntowania i wydoskonalenia konstytucji narodowej jedynie zawisł... ceniąc drożej nad życie, nad szczęśliwość osobistą, egzystencję polityczną, niepodległość zewnętrzną i wolność wewnętrzną narodu... niniejszą konstytucję uchwalamy...“. Niestety — nie było danem pokoleniu ówczesnemu zrealizowanie tych haseł w praktyce. Cztery lata pracy nie mogły odrobić tych błędów, jakie popełniano przez kilka stuleci. Upadło państwo, upadła Konstytucja. Ale jako testament polityczny ludzi, którzy ją tworzyli, pozostała na długie lata niewoli i walk — o „niepodległość zewnętrzną“.

*STANISŁAW ARNOLD*



# STAROPOLSCY TEORETYCY KONSTYTUCJI


Cōmune incliti Polonie Regni privilegium cōstitutionū z indultuū publicitus decretorum approbatorūq3 cum

ratissime castigatis.

(Ze zbiorów Bibljoteki Narodowej)

Czy warto dzisiaj, w rozgwarze życia politycznego, które w całości niemal jest pogonią za sprawami aktualnemi, a wskutek tego z lekceważeniem spogląda na wszystko, co było wczoraj, czy warto przypominać „dawnych Polaków“ i to, co myśleli oni i mówili o zagadnieniach konstytucyjnych?

Czy warto dalej nawracać raz jeszcze do rzeczy znanych i ogranych, do poglądów, które wykłada każdy podręcznik szkolny? Bo przecież uwagi o dawnych „pisarzach politycznych“ należą do najświetniejszych kart popularnej książki Chrzanowskiego *(Historja Literatury Niepodległej Polski)*, bo w każdej większej bibljotece znaleźć można starą, i chyba niecałkiem zapomnianą księgę o nich Stanisława Tarnowskiego czy nowsze, znakomite dzieło Stanisława Kota o *Rzeczypospolitej polskiej w literaturze politycznej Zachodu*, nie mówiąc już o najrozmaitszych a nie zawsze najszczęśliwszych wypisach i czytankach.

Odpowiedź na pytania te nie jest zbyt trudna. Zaczynając od drugiego z nich, powołać się wystarczy na fakt znany i pospolity: kapitał wiedzy o pewnych sprawach nigdy nie jest wielkością stałą, w praktyce przynajmniej. Książka, która go zawiera, zwłaszcza książka dobrze napisana, nigdy nie da się wyczerpać odrazu. Uwagę naszą pobudzają w niej raz te strony, kiedyindziej inne, nietylko w zależności od tego, czego w niej szukamy, ale i od tego, z jakiem nastawieniem zwracamy się do niej. Stąd nawet wymienione poprzednio dzieła naszych historyków dawnej kultury powiedzą nam dzisiaj coś innego, aniżeli mówiły przed laty kilku czy kilkunastu, a cóż dopiero, jeśli zajrzymy do pism jakiegoś tuzina najwybitniejszych pisarzy politycznych Polski przedrozbiorowej! Znajdziemy tam rzeczy, które dadzą nam odpowiedź na pytanie pierwsze.

Na dowód przykład konkretny, zdanie jednego z nich w kwestji wykształcenia dla „szerokich warstw“.

„Dlaczego odczuwamy brak rzemieślników i chłopów?

Widzimy—pisze ów polityk—że ilość chłopów, rzemieślników i innych robotników się zmniejsza. Przyczyną tego jest wprawdzie grasująca od kilku lat zaraza, dzieje się to jednak głównie dlatego, że wszyscy chcą być księżmi i studentami *(clerici)*, a to jest kategorja próżniaków i ludzi bezużytecznych. Skoro więc leży w interesie państwa *(interest reipublicae)*, by elementy próżniacze i bezużyteczne nie wzrastały, należałoby nie dopuszczać do miast ogromnej hordy mnichów i żebrzących żaków, którzy pasą się cudzym kosztem. Kogo stać na to, niech się zajmuje nauką, kogo zaś nie, niech orze, wojuje, pracuje w rzemiośle. Napisano jest bowiem: najpierw się bogacić, później filozofować“.

Cytaty łacińskie w urywku tym dowodzą, że nie jest on fragmentem dzisiejszej debaty na temat szkoły dla wszystkich, szkoły ogólno-kształcącej czy szkoły zawodowej, ani też z rozważań nad ustawą o bibljotekach gminnych. Istotnie, wyszedł on około r. 1470 z pod pióra ojca publicystyki polskiej, dygnitarza z czasów Kazimierza Jagiellończyka, Jana Ostroroga. Przytoczyłem zaś tutaj tego „statystę“ z przed lat niemal pięciuset, głos jego bowiem wymownie dowodzi, że pewne zagadnienia, roztrząsane pod koniec średniowiecza, bynajmniej nie straciły aktualności po dzień dzisiejszy, i zaryzykowaćby nawet można pogląd, że to czy owo rozwiązanie, stosowane przed wiekami, dałoby się z powodzeniem zastosować również i dzisiaj. Ale nawet człowiek, który nie wierzy w słuszność zasady, że „historja to mistrzyni życia“, który więc nie będzie się do Ostrorogów zwracał po wskazówki, co i jak robić, zaprzeczyć nie może, że na owych tak nieraz jeszcze jarych i krzepkich staruszków niepodobna spojrzeć bez zainteresowania.

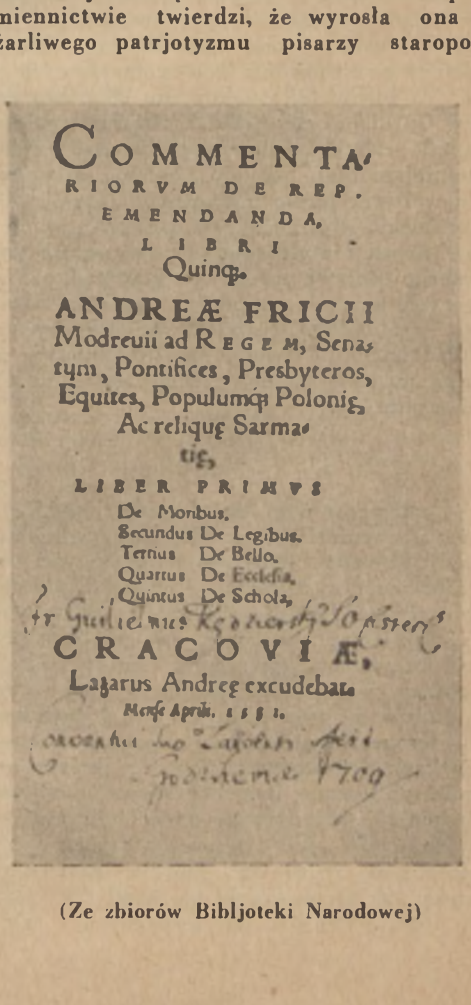
•

Tuzin dawnych pisarzy politycznych, którymi chciałbym tutaj się zająć, to twórcy przeróżnych pism o konstytucji, począwszy od czasów Kazimierza Jagiellończyka aż po ustawę majową z r. 1791. Czy jednak takie postawienie sprawy nie jest anachronizmem i dowodem ignorancji, boć przecież wiadomo, że konstytucja, a więc ustawa, określająca ustrój państwa, jest zjawiskiem wcale późnem, wynalazkiem dopiero w. XVIII? Oczywiście, że pisarze dawniejsi nie znali ani pojęcia takiej ustawy, ani odpowiedniego terminu, nie znaczy to jednak, by nie znali treści pojęciowej, oznaczanej dzisiaj tym wyrazem. Interesował ich tedy ustrój państwa, i to zarówno od strony teoretycznej jak od strony praktycznej, stąd w dziełach swych usiłowali oni uchwycić i przedstawić zasady ustroju państwowego i równocześnie scharakteryzować te formy ustrojowe, które ich zdaniem były najwłaściwsze dla Polski w tych czy innych fazach jej rozwoju. W rezultacie tedy staropolska literatura polityczna posiada kilkanaście dzieł, z których każde jest mniej lub więcej systematycznym komentarzem do konstytucji, projektowanej oczywiście, bo żadnego z tych projektów nie wprowadzono w życie. Widać to choćby już w samych tytułach owych ksiąg. Najdawniejsza z nich nosi tytuł *„pro rei publicae ordinatione“* i jest dziełem wspomnianego już Ostroroga. W lat siedemdziesiąt później, około połowy w. XVI pojawia się *„de republica emendanda“* Andrzeja Frycza z Modrzewia, w sto lat po Fryczu profesor wileński, Aron Olizarowski, ogłasza *„de politica nominum societate“*, pisarze zaś w. XVIII tytułują swe rozważania *„de ordinanda republica“*, jak Karwicki, albo *„o skutecznym rad sposobie“*, jak Konarski, zamykające wreszcie serję dzieło Kołłątaja zowie się już całkiem nowocześnie, bo *Prawo polityczne narodu polskiego czyli układ przyszłego rządu rzeczypospolitej.*

Skąd cała ta literatura się wzięła, z jakich źródeł czerpała swe pomysły, do czego dążyła, co osiągnęła, co po niej w kulturze polskiej pozostało, oto szereg pytań, które nasuwają się nam, gdy spoglądamy na galerję Ostrorogów, Fryczów, Orzechowskich, Rejów, aż po Konarskich, Stasziców i Kołłątajów, pytań, na które dać należy najbardziej choćby ogólnikową odpowiedź.

•

Skąd literatura ta się wzięła? Najpopularniejsza książka o naszem dawnem piśmiennictwie twierdzi, że wyrosła ona z żarliwego patrjotyzmu pisarzy staropol-


COMMENTARIORVM DE REP. EMENDANDA, LIBRI Quinq.

ANDREÆ FRICII Modreuii ad REGEM, Senatum, Pontifices, Presbyteros, Equites, Populumq; Poloniæ, Ac reliquæ Sarmatiæ,

LIBER PRIMVS De Moribus.
Secundus De Legibus.
Tertius De Bello.
Quartus De Ecclesia.
Quintus De Schola.

CRACOVIÆ,
Lazarus Andreæ excudebat.
Mense Aprili. 1551.

(Ze zbiorów Bibljoteki Narodowej)




(Ze zbiorów Bibljoteki Narodowej)

skich, którzy tak gorąco kochali ojczyznę, że ustawicznie wytykali jej wady i głosili konieczność poprawy, grożąc w przeciwnym razie nieuchronnym upadkiem państwa. Taki pogląd musiał zrodzić się wśród pokoleń, które nie mogły, co i naturalna, pogodzić się z rzeczywistością i które „szukały w ojcach winy“ za to, co losy kazały im przeżywać. Gdybyśmy dzisiaj tego rodzaju kryterja spróbowali zastosować w któremkolwiek państwie, na patrjotów musielibyśmy awansować tych wszystkich publicystów, którzy zazwyczaj miewają rozmaite niezałatwione porachunki z policją polityczną. O jednem bowiem pamiętać należy. Cała spora dziedzina dawnego piśmiennictwa, oznaczana dzisiaj uroczyście etykietą „literatury politycznej“, jest właściwie literaturą publicystyczną. Wśród publicystów tych zdarzają się wprawdzie „posłowie nie z jednego powiatu“, ludzie, reprezentujący swe własne stanowisko, wyraziciele swej własnej myśli, w większości jednak wypadków pisarze ci są wyobrazicielami takich czy innych grup społecznych i ich interesów i, co za tem idzie, zmierzają do osiągnięcia takich czy innych celów, służą takim czy innym rozgrywkom politycznym. Bo inaczej przecież być nie mogło, bo dawna publicystyka wogóle, a publicystyka konstytucyjna w szczególności, pozostaje w związku, i to zazwyczaj bardzo ścisłym, z życiem politycznem, które ją wydało. Odbija ona te wszystkie wstrząsy polityczne, które państwo polskie przechodziło od końca średniowiecza, od czasów Kazimierza Jagiellończyka, aż pod koniec w. XVIII, po okres rozbiorów. Szeroko rozrastająca się warstwa szlachecka spycha stopniowo poza arenę polityki czynnej możnowładców świeckich i duchownych, równocześnie zaś, w imię swych interesów stanowych, znacznie ogranicza władzę królewską. Debaty toczą się na sejmach i sejmikach, niejednokrotnie nawet w obozach wojskowych, a że dotyczą spraw, obchodzących cały ogół szlachecki, budzą one szerokie zainteresowanie. Europa ówczesna, w. XVI i nawet XVII, nie zna jeszcze prasy, stąd relacje o debatach i projekty zmian, dzisiaj dyskutowane w dziennikach i broszurach, otrzymują pod piórem publicystów w. XVI formę traktatów, niekiedy suchych i rzeczowych, niekiedy przybranych w bardziej poważną a modną podówczas formę dialogu cycerońskiego, lub zgoła platońskiego. Do formy tej uciekają się Orzechowski czy Górnicki, gdy jezuita Skarga wybiera kształt literacki, który mógł mu dać najdogodniejsze dlań pole do popisu i osiągnięcia wpływu, formę mianowicie kazania politycznego. Równocześnie pisarze-myśliciele, którym nietyle zależy na wywarciu doraźnego wpływu na przebieg wypadków, a których pociągają raczej rozważania natury ogólniejszej, dziś powiedzielibyśmy „akademickiej“, uwagi swe przybierają w szatę uczonej łaciny, zrozumiałej również dla zagranicy.

°

Brak prasy i, co za tem idzie, publicystów z rzemiosła, sprawia, że zagadnienia publicystyczne roztrząsają publicyści z temperamentu, a niekiedy zresztą i z przygotowania. Trafiają się wśród nich statyści, jak stary Ostroróg, lub niefortunny król Stanisław Leszczyński, autor *Głosu wolnego*, w większości jednak wypadków są to ludzie, którym za pióro kazał pochwycić temperament. nie wyładowany w obowiązkach zawodowych, ludzie, którzy na życie polityczne bezpośredniego wpływu nie mają, a wywieraćby go chcieli. Trafiają się wśród nich typowi awanturnicy intelektualni, jednostki ambitne, zazwyczaj księża, jak Orzechowski czy Kołłątaj, choć nie brak jednostek tak poważnych i szlachetnych, jak zakonnicy Skarga czy Konarski.

Rzecz jasna, że nie wszyscy oni posiadają odpowiednie przygotowanie, nie wszyscy inne warunki, wymagane od publicysty. Stąd płynie bardzo różna wartość tego, co głoszą. Obok tedy poglądów głębokich i oryginalnych, obok stanowisk, podyktowanych przez rzetelną troskę obywatelską o dobro społeczeństwa i państwa, raz-po-raz trafiamy na przeróżne jaskrawe niekonsekwencje, fałsze, pomyłki, a niekiedy nawet puste a krzykliwe, demagogiczne frazesy, podyktowane przez ciasne interesy klasowo-zawodowe, którym pisarze ci mniej lub więcej świadomie hołdują.

Dla przykładu wystarczy wskazać na dwu wybitnych publicystów wieku złotego. Jeden z nich, Stanisław Orzechowski, piszący w epoce, gdy na Zachodzie ustalają się zwolna zarysy monarchji absolutystycznej, ogłasza szereg traktatów o „policji królestwa polskiego“, czyli o jego ustroju, tworząc wyraz policja wedle wzoru greckiej *politei*, z której zresztą wywodzą się zarówno dzisiejsza polityka jak policja. W traktatach tych propaguje ni mniej ni więcej tylko zasady państwa teokratycznego, które radby widzieć w Polsce. Motywuje to w sposób bardzo zabawny. Najwyższą formą ustroju państwowego jest dla niego królestwo, ustrój wymagający króla, a zatem władcy koronowanego przez przedstawiciela kościoła, z czego pisarz wyciąga wniosek, że władza świecka musi być zależna od duchownej. Ideałom tym samym hołduje również Skarga, jakkolwiek głosi je w postaci bardziej umiarkowanej, wolnej od jaskrawej paradoksalności stanowiska Orzechowskiego. Przyznać jednak należy, że dwaj ci publicyści nie reprezentują całego duchowieństwa w szeregach naszych dawnych pisarzy politycznych. księża bowiem w. XVIII, taki Konarski lub Kołłątaj, umieli odgraniczać bardzo ściśle to, co boskie, od tego, co cesarskie, śmiałością zaś swych poglądów politycznych wywoływali niejednokrotnie zgorszenie u ludzi świeckich, a gorliwców.

Publicyści znowuż świeccy, rekrutujący się czyto (rzadziej) z rodów magnackich, czy z szerokich sfer szlacheckich, grzeszą inną ciasnotą, utożsamiają interesy państwa z interesami stanu szlacheckiego. Bardzo niewielu, i to przedewszystkiem w dobie Sejmu Czteroletniego, zdobywa się na wymowną obronę praw władzy rządzącej (króla), jako czynnika, gwarantującego całość i nienaruszalność ustroju państwowego. Daleko częściej, i to od czasów najdawniejszych, akcentowane są prawa innych stanów, mieszczańskiego i chłopskiego, jakkolwiek akcenty to raczej filantropijno-etyczne aniżeli realno-polityczne.

°

Wszystkich jednak naszych dawnych publicystów, z wyjątkiem jednego może Kołłątaja, cechuje osobliwa skłonność do abstrakcji, nieumiejętność liczenia się z potrzebami życia, z rzeczywistością stosunków polskich. U wszystkich niemal rzeczywistość tę przesłaniają „ideje“ iście platońskie, szkolne schematy z nauk prawnych wydobyte, nie mające miejsca na gruncie rzeczywistości europejskiej, zrodzone w ścianach gabinetu, obstawionych uczonemi dziełami Arystotelesów i Cyceronów, Augustów i Tomaszów, których z biegiem wieków zluzują Montesquieu czy Rousseau.

Ale też dzięki temu w tej czy owej dawnej księdze spotykamy czasami rzeczy naprawdę zdumiewające, niemal... prorocze, choć wątpić można, czy nasi amatorzy „wieszczów“ w literaturze byliby proroctwami temi bardzo zachwyceni. Dla przykładu przytaczam „sposób“ zreformowania ustroju polskiego pod koniec w. XVI, wyłożony w broszurze Górnickiego *Rozmowa Polaka z Włochem*. Wywody uczonego publicysty podaję nie w ich zawiłej formie oryginalnej, lecz w znakomitem streszczeniu Stanisława Tarnowskiego, który zaopatruje je zresztą w sceptyczne komentarze.



X. Hugo Kołłątaj




(Ze zbiorów Bibljoteki Narodowej)

„Sposobem tym jest dyktatura. W teorji, w logice, rozumowanie słuszne. Kiedy stan kraju dochodzi do nierządu, tam władza jednego może przywrócić porządek. Ale w tym szczególnym polskim przypadku—środek niepraktyczny, błahy. Nikt tu nie był dość mocnym, żeby władzę zamachem stanu opanować; a żądać od sejmu, jak właśnie robi Górnicki, żeby dobrowolnie zrzekł się swoich praw i wolności, i na jakiś czas powierzył je dyktatorowi, to utopja bardzo dziwna.

Pod dyktaturą tedy miałaby się dokonać reforma sprawiedliwości (praw i procedury), dalej zmiana konstytucji, sejm nieustający, ale jednoizbowy, złożony z senatorów i posłów. W takim sejmie, w obecności króla i senatorów, posłowie mniejby rozprawiali i swarzyli się, a uchwalaliby więcej“.

Trzeba przyznać, że długo wypadło czekać, nim stosunki europejskie potoczyły się szlakiem, wyznaczonym przez zabiegliwą myśl autora *Dworzanina Polskiego*.

°

Owa skłonność do teoretyzowania, do zastępowania konkretnego życia i jego wymagań abstrakcjami uczonych głów sprawiła, że literatura polityczna przedrozbiorowej Polski na życie wpływu albo wcale nie wywierała, albo też wywierała go bardzo mało. Wszak w wieku XVIII, po znakomitych rozprawach Konarskich, Stasziców i Kołłątajów, ustawę majową można było ogłosić tylko w drodze zamachu stanu.

A jednak z perspektywy wieków ta zasadnicza wada nie wydaje się wadą, a przynajmniej ulega bardzo znacznemu zmniejszeniu. Nie ulega mianowicie wątpliwości, że gdyby nasi najlepsi publicyści dawnych wieków trzymali się ściśle wymagań życia, gdyby w dziełach swych zajmowali się jedynie problemami aktualnemi, gdyby jedynie bronili „złotej wolności“ czy też jedynie atakowali oparty na niej system polski, dzieła ich mogłyby dzisiaj zainteresować jedynie historyka naszych dziejów. Historyk ten miałby wdzięczne zadanie wykazać, jak myśl ich wcielała się w życie, jak otrzymywała kształt żywych instytucyj polityczno-społecznych, o ile to wogóle się zdarzało. Na czemżeż tedy polega znaczenie i wielkość owych publicystów, tych przynajmniej, których istotnie poczytujemy za wielkich? Otóż na tem, że w swych dalekosiężnych i zazwyczaj mało praktycznych rozważaniach głosili prawdy, które są prawdami dla całych wieków, bo wskazują na ideały dziś równie niedościgłe, jak nieosiągalne były w czasach Jagiellonów czy Poniatowskich. Wystarczy wskazać na monumentalne dzieło Frycza „*de republica emendanda*“, dzieło, w którem autor szuka odpowiedzi na antynomję etyki indywidualnej i etyki społecznej czy wręcz państwowej, usiłuje rozwiązać zagadnienie, dlaczego jeden i ten sam uczynek raz jest naganny, innym zaś razem chwalebny. Myśl jego śmiało zapuszcza się na te manowce, po których kiedyś będą wędrować autorzy *Konrada Wallenroda* i *Przedwiośnia*. Rozwiązanie zresztą dawny publicysta znajduje w... ewangelji, w nauce Chrystusa, z której usiłuje wyciągnąć konsekwencje, wiążące nietylko jednostkę ale i zbiorowość. W nauce tej akcentuje dobitnie również postulat równości wszystkich, bo wszyscy są dziećmi bożemi i braćmi. I nic bardziej znamiennego, jak głos jednego z najwybitniejszych pisarzy politycznych epoki ówczesnej, Francuza Bodina, który o poglądach myśliciela polskiego wyraził się, że nic nad nie nie może być głupszego. A jednak w dwa wieki później we Francji właśnie, w ojczyźnie surowego krytyka, jeden z podstawowych poglądów Frycza oficjalnie został proklamowany, by stać się zczasem kamieniem węgielnym każdej pracy konstytucyjnej.

I tem właśnie legitymuje się znaczenie naszych dawnych publicystów, przynajmniej tych, którzy byli naprawdę wielcy.

*JULJAN KRZYŻANOWSKI*

# NOWA KONSTYTUCJA I DEMOKRACJA

„Żadna wartość pozytywna nie tkwi w twierdzeniu, że cała odpowiedzialność za to, co się stało, spada na B. B., na jej wodzów i inspiratorów. Taka prawda moralna nie wyzwoli ani jednego obywatela polskiego z obowiązku pracowania nad tem, aby w ramach nowego ustroju państwowego nie ginął typ obywatela myślącego rozumnie o sprawie ojczystej i kochającego ją nad wszystko“. Nic bardziej smutnego i żałobnego nie powiedziano o nowej Konstytucji. Autor ich, B. K. (w *Kurjerze Warszawskim*) mógłby nawet dać im tytuł nie *Przełom* ale np. „Lament nieszczęśliwej ojczyzny i jej wiernych synów“. O ileż bardziej krzepiące jest oświadczenie posła Rataja, że Konstytucja może się stać dla jego szeregów hasłem do rewolucji klasowej. Nawet jeżeli pos. Rataj nie wierzy w swoją groźbę, co więcej, gdyby wątpił o samych szeregach, przecież jego postawa jest jakaś dynamiczna, świadczy o wyczuciu pozytywnej siły tkwiącej w ustawie konstytucyjnej. Tymczasem red. B. K. jest jak ojciec rodziny stojącej na zgliszczach spalonego domostwa i mówiący do niej: pogorzeliśmy, ale żyć będziemy jak Bóg da. M i m o Konstytucji obywatele dbać mają o to, by nie zginął typ obywatela kochającego ojczyznę.

Żałość jest uczuciem, które zasługuje na szacunek, nie jest jednak dostatecznem kryterjum do oceny historycznych wydarzeń. Uchwalenie nowej Konstytucji jest przełomem ale w żadnym razie nie dlatego, że „ani monarchiści, ani liberaliści, ani nacjonaliści, ani demokraci, ani prawdziwi arystokraci, ani ludzie wychowani na wyklinaniu wzorem szkoły krakowskiej całego wieku 18-go, nie poznają w nim ani szczypty swoich pragnień“. To także są słowa cytowanego autora, publicysty, któremu doskonale znane są prądy i idee nurtujące w dzisiejszej Europie i w reszcie świata i który wie, że żadna z wyliczonych przez niego grup nie jest w możności sama zdecydować o przeobrażeniu ustrojów państwowych. Że całe wogóle zagadnienie tkwi gdzieindziej, mianowicie w obiorze jednej z dwu dróg: państwo rozwija się w kierunku totalności lub też reformuje do gruntu demokratyczność swojego ustroju. Oczywiście istnieje i trzecia forma: zachowanie za wszelką cenę istniejącego demokratycznego ustroju, ale ta tendencja przestaje być aktualna w każdem państwie, które raz wyszło z tych form i weszło na szlaki reformy.

Nic bardziej zrozumiałego i usprawiedliwionego jak obrona starej Konstytucji, gdy się jej broni z wiarą i przekonaniem. Ale też nic bardziej oderwanego od życia i może nawet tragicznego, jak takie uporczywe *non possumus*, w szczerem czy taktycznem przeświadczeniu, że nowa Konstytucja „nie harmonizuje z usposobieniem narodu polskiego“, że „jest w Polakach wyraźny rytm ewolucyjny“. Nie jest to przecież jeszcze takie pewne, czy wzgląd na rzekomą harmonję może uchodzić za probierz celowości reform w Polsce. Konstytucja 3-go Maja nie ze wszystkimi Polakami harmonizowała. Ewolucja zaś Polaków trwała tak długo, że jeszcze w r. 1831 potrafił sejm wyrzec się swojego własnego projektu częściowego uwłaszczenia chłopów i to w chwili, gdy już tylko chłopstwo mogło wydatniej zasilić poszarpane w bitwach szeregi. Nic wtedy nie chciało harmonizować z usposobieniem Polaków: ani wodzowie, ani sztuka wojenna, ani mądra myśl polityczna. Zło jednak tkwiło w czem innem i dziecko szkolne wie już dzisiaj—w czem: nie było „wodzów i inspiratorów“, którzyby spróbowali zharmonizować Polaków z rzeczywistością i nieco przyspieszyć ich „rytm ewolucyjny“.

Ten rytm został dziś przyspieszony. Stało się—jak się zazwyczaj określa grozę sytuacji. Uspokojeni, że nic na to nie poradzimy, mamy pełne prawo szukać godziwej pociechy nawet połączonej z rozrywką umysłową. Oznacza to jednak nie co innego, jak dyskutowanie o nowej Konstytucji bądź w jej oderwaniu od całego świata, bądź w kontakcie z podobnemi zjawiskami u innych narodów. Nie chodzi oczywiście o prawniczy i regulaminowy punkt widzenia, godny tylko specjalistów i znawców. Raczej może o tak interesującą kwestję jak: nowa Konstytucja na tle demokracji.

Demokracja bezsporna istniała doniedawna we Francji. Dziś już nie istnieje, bo w swojej tradycyjnej postaci zachwiała się na placu Zgody w lutym zeszłego roku. Zachwiała się, jako idea i religja, mimo że formy zewnętrzne t. j. instytucje zachowała narazie bez zmian. T. zw. „Plan z 9-go lipca“ czyli „Reforma Francji“ nie jest aktem oficjalnym, ale od chwili, gdy zjawiła się na rynku księgarskim w wielu dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, jest przedmiotem dyskusji i sporów, działa zapładniająco i, żeby nie przeceniać jej znaczenia, przyspiesza naprawę tamtejszej demokratycznej rzeczypospolitej. Plan jest demokratyczny, republikański, więcej lewicowy niż prawicowy, a jego patron, Jules Romains, włożył weń znacznie więcej niż „szczyptę swych pragnień“ liberalistycznych. Ta właśnie broszura jest za mało znana w Polsce, choć od soboty 23-go marca mogłaby rozpogodzić niejedno zasępione czoło. Odczytajmy z niej taki początek 2-go rozdziału.

„Reforma państwa... nie wydaje się być możliwa do osiągnięcia w drodze normalnego działania

ciał parlamentarnych, których funkcjonowanie wyklucza w samej ich definicji głęboką naprawę polityczną. Należy zatem przewidywać okres przejściowy, w czasie którego silny rząd, którego genezy ani formacji nie można zgóry przesądzać, ale który przez swój skład i swój program będzie musiał mieć kompetencję w oczach dużej większości narodu, ustali podstawy nowych instytucyj. Zadaniem tego rządu będzie oznaczyć drogą autorytatywną organizację administracyjną, gospodarczą i społeczną". Oczywiście nie ten rząd zdecyduje o przyjęciu nowych urządzeń, bo to postanowi konstytuanta, natomiast pochodzenie samego rządu reformy, a więc i jego planu reorganizacyjnego może się dokonać poza parlamentem, choć mogłoby się zdarzyć, że sam parlament zgodzi się na taki rząd i pozwoli mu na opracowanie ograniczenia władzy parlamentarnej. Jest jednak mało nadziei, że parlament francuski zdobyłby się na taki heroizm. Pozostawałoby tylko jedno wyjście—zamach stanu, jakiś przewrót, albo czekanie na cud. Tak czy inaczej musiałaby wystąpić jakaś realna siła, gdyż inaczej nie są do pomyślenia następujące punkty programu:

1) Wzmocnienie władzy wykonawczej; 2) organizacja prezesury rady ministrów stałej i silnej (*permanente et fortement constituée*); 3) utworzenie stałych większości parlamentarnych; 4) odebranie izbom prerogatywy obalania rządu, co tak wygląda: izba deputowanych może obalić gabinet, wyrażając mu votum nieufności, jeżeli jednak nie zrobiła tego przy przedstawianiu się rządu zaraz po jego utworzeniu, to późniejsze odmówienie zaufania już funkcjonującemu rządowi pociąga automatyczne rozwiązanie izby i rozpisanie nowych wyborów; natomiast senat nie ma wogóle prawa obalać rządu.

Taki jest program reformy; jego autorzy zastrzegają się stanowczo przeciw mistyce totalności państwowej, stoją wytrwale na gruncie demokratycznym i republikańskim, z pod ich pióra nie wychodzą słowa dyktator i dyktatura, nawet na ów nieunikniony przejściowy okres silnego rządu reformy. Ale nie wyrzekają się całkowicie „mistyki": „...trzeba aby każdy obywatel powziął świadomość roli, do jakiej jest powołany we wspólnocie narodowej. Trzeba aby świadomość osobistego interesu została uzupełniona i poprawiona przez poczucie dobra społecznego. Bodziec korzyści osobistej powinien podporządkować się stopniowo mistyce użyteczności powszechnej".

Wystarczy zestawić ten program reformy ustroju Francji z paragrafami nowej Konstytucji polskiej, aby nabrać przeświadczenia przynajmniej o jednej prawdzie. Nie zawiera ona zniszczenia ustroju demokratycznego i nie głosi absolutyzmu państwowego. Jest produktem ducha czasu i jaknajsłuszniej liczy się z niebezpieczną dla Polski totalnością ustroju sowieckiego i narodowo-socjalistycznego. Co więcej, idzie po linji odbywającego się już gruntownego przeobrażenia idei demokratycznej. Na tę ostatnią okoliczność mamy znowu, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, całkiem wymowne świadectwa. Właśnie ukazał się w najświeższym zeszycie *Przeglądu Współczesnego* obszerny artykuł prof. Sergjusza Hessena *O demokracji*, streszczający wynik dyskusji, jaka na ten temat odbyła się na 8-ym Międzynarodowym Kongresie Filozoficznym w Pradze. Autor, przysięgły wyznawca i obrońca demokracji i ustrojów demokratycznych, stwierdza zarówno na podstawie bogatej w myśli dyskusji referentów (z pośród nich tylko Włosi występowali z krytyką demokracji), jak i na podstawie własnych dociekań, że kryzys demokracji odbywa się w całej pełni. Jest to najgorszy z kryzysów, bo kryzys duchowy. Demokrację w jej zwyrodniałej postaci cechuje relatywizm dobra i prawdy. „Podstawą najgłębszą tolerancji jest miłość bliźniego i wiara w realność duchową prawdy, z którą się człowiek łączy jako istota również duchowa a więc wolna. Relatywizm natomiast wiarę tę utracił i oznacza zarówno brak przekonań jak i obojętność dla bliźniego". Dla przeciętnego demokraty całe życie duchowe rozmieszczone jest jakby w jednej płaszczyźnie, wskutek czego zatraca się wszelka hierarchja wartości, toteż przeciętny człowiek w demokracji stoi na straży swoich praw i swej godności ludzkiej (co jest prawdziwą istotą demokracji), lecz zbyt często odmawia uznania szczególnej wartości tego, co ponad przeciętny poziom wyrasta (co jest zniekształceniem demokracji). Wreszcie jeden jeszcze szczegół w charakterystycznem oświetleniu obrońcy (pamiętajmy o tem) demokracji: „Moment suwerenności narodu również schodzi obecnie na plan dalszy, chociażby dlatego, że „wola zbiorowa", do której mógłby i powinien prymat absolutny należeć, jest dziś coraz to więcej odczuwana nie jako dana rzeczywistość, lecz jako stojące wobec twórczości politycznej zadanie, jako coś, co musi być za każdym razem na nowo opracowane i utrwalane w twórczej działalności instytucyj demokratycznych".

W ten sposób demokracja musi dopiero zapracować na swoje nowe panowanie, przezwyciężyć swój relatywizm, wypełnić swoją istotę treścią duchową, z której się wyczerpała, a nawet, choć to brzmi niepolitycznie i niedość demokratycznie, musi się zbliżyć nieco do źródła życia duchowego czyli do Absolutu.

Czy nowa Konstytucja polska utrudnia demokracji tego rodzaju odrodzenie? Nie odpowiadajmy pochopnie, że nie; zwróćmy natomiast uwagę, że nie popada ona w tak niebezpieczną ostateczność jak ideokrację państwową, nie stwarza totalności mechanicznej, jak Sowiety, ani totalności państwa ubóstwianego, jak hitleryzm, nie niweluje jednostki, bo głosi, że „twórczość jednostki jest dźwignią życia zbiorowego" i że „państwo zapewnia obywatelom możność rozwoju ich wartości osobistych". Wreszcie koncentruje w osobie prezydenta odpowiedzialność państwową „wobec Boga". Demokracja otrzymuje dzięki temu dobrą okazję do odświeżenia swojej idei, skurczonej i zakrzepłej w relatywistycznym racjonalizmie.

*STANISŁAW ROGOŻ*

# KSIĄŻKI O NOWEJ KONSTYTUCJI

DR. ANTONI CHMURSKI: *Nowa Konstytucja.* Warszawa 1935. Skł. gł. Gebethner i Wolff.

Książka ta nie jest pracą naukową. Jest artykułem dziennikarskim, który przez smutne nieporozumienie (niestety!) rozrósł się do rozmiarów—przeszło 300 stron.

Już w tytule książki znajdujemy pewną—powiedzmy: nieścisłość. Autor rozpatruje projekt Konstytucji, uchwalony przez Sejm 26 stycznia 1934 r., projekt zatem jeszcze bez poprawek Senatu. Pisze też p. Chmurski: „Nowa Konstytucja nie stała się jeszcze ustawą (*contradictio in adiecto;* zamiast: projekt Konstytucji nie stał się jeszcze ustawą—dop. mój). Uchwalił ją Sejm, nie uchwalił jeszcze Senat" (str. 267). Autor zatem doskonale wie, jaką jeszcze drogę przebyć musi projekt (nawet uchwalony już przez Sejm), zanim stanie się ustawą. Dlaczego więc nie zatytułował swej książki odpowiednio do jej treści: Projekt nowej Konstytucji?

Wydaje się, że zupełnie świadomie. „Chodzi... o rzecz wielką—czytamy.—To, co uchwała Sejmu z dnia 26 stycznia 1934 r. przynosi, jest czemś więcej niż naprawą ustroju istniejącego. To jego obalenie. Nowa Konstytucja zakłada fundamenty nowego Państwa. Konstytucja nie jest i nie może być sprawą jednego stronnictwa. Jest sprawą całego Narodu. Powinna więc stać się przedmiotem rozważań i dyskusji szerokich mas obywateli. Rozstrzygają się losy przyszłego ustroju Rzeczypospolitej. Obywatele powinni zabrać głos!" Oto końcowe akordy pierwszego rozdziału, który nosi tytuł: *Chwila przełomowa.*

Autor zatem uderza na alarm. Tem się tłumaczy fakt, że autor używa terminu „nowa Konstytucja" zamiast „projekt Konstytucji". Sądzi widocznie, że oddźwięk emocjonalny społeczności alarmowanej będzie w tym wypadku silniejszy.

Czy jednak atmosfera „alarmowa" sprzyja wartościowemu, „beznamiętnemu" rozważaniu zagadnień ustrojowych? Czy „szerokie masy obywateli" są naprawdę kompetentne w tym względzie i wykazują zrozumienie wagi i doniosłości spraw konstytucyjnych? Na te i podobne pytania autor nie daje czytelnikowi odpowiedzi. A szkoda! Gdyby bowiem rozważył te kwestje, to może inaczejby napisał swą książkę. Bogata treść zyskałaby przez odpowiednie ujęcie.

Analizę projektu Konstytucji uzupełnia zestawienie go z ustrojami t. zw. przez autora „państw autorytetu" (Włochy, Litwa, Jugosławja, Austrja, Niemcy). Brak tu jednak syntetycznego ujęcia konstrukcyj ustrojowych, autor bowiem zestawia mechanicznie rozmaite artykuły Konstytucji, nieraz w sposób zupełnie luźny i niepowiązany, bardzo często powtarza to, co już raz powiedział, gubi się w drugorzędnych szczegółach, a nie dociera do podstawy zagadnień.

Ten zasadniczy mankament książki—utonięcie w powodzi cytat i artykułów ustaw zamiast postawienia zagadnień—mógł autor bodaj w pewien sposób wynagrodzić: mógł dać sumienną i staranną interpretację prawną, porządny komentarz. Niestety, i tu spotyka nas zawód. Wybieram pierwszy lepszy przykład. Art. 1 Projektu brzmi: „Państwo Polskie jest wspólnem dobrem wszystkich jego obywateli". Jak wygląda interpretacja autora? „Rozumieć je (określenie Państwa) można w ten sposób, że do znamion istotnych pojęcia Państwa, ustalonych już oddawna i bezspornie (!? a np. Kelsen, Znamierowski?) w nauce prawa państwowego, któremi są lud, terytorjum i wspólna władza, dołączyć (!) należy dalsze specyficznie (!) polskie, że Państwo Polskie jest wspólnem dobrem wszystkich jego obywateli. Znamię to ma jednak charakter zbyt ogólnikowy. Nie podaje bowiem z wymaganą ze stanowiska prawnego ścisłością, na czem wspólność dobra zbiorowego polega i jakim ma być w niem udział poszczególnych obywateli. Nie jest w tych warunkach specyficznie polskiem, jest formułą, która może być zastosowana do wszystkich państw i do wszystkich czasów".

Doprawdy trudno o więcej nieporozumień i niezrozumień, niż te, które autor zdołał zmieścić w tem „wyjaśnieniu" interpretacyjnem. Przedewszystkiem: *Zasady ogólne* mają charakter deklaratywno-ideologiczny, i z tego punktu widzenia należy interpretować art. 1—10, a nie jako przynoszące definicję państwa, któraby miała zająć miejsce w nauce o państwie. Łatwo posłużyć się można, interpretując art. 1, argumentem *a contrario.* „Państwo Polskie jest wspólnem dobrem *wszystkich* obywateli", to znaczy, że nietylko niektórych. Intencje ustawodawcy nie budzą żadnych wątpliwości. Podstawowa zasada interpretacji: kontekst! Art. 9 brzmi: „Państwo dąży do zespolenia wszystkich obywateli w harmonijnem współdziałaniu na rzecz dobra zbiorowego", a art. $7_2$: „Ani pochodzenie, ani wyznanie, ani płeć, ani narodowość nie mogą być powodem ograniczenia tych uprawnień" (wpływania na sprawy publiczne). Autor jednak rozumie termin „dobro zbiorowe, wspólne" dystrybutywnie, miast ująć go jedynie słusznie — w sensie kolektywnym. P. Chmurski rozumuje tak: skoro jest jakieś „wspólne dobro", no — to trzeba je jakoś podzielić lub przynajmniej oznaczyć dokładnie (procentowo?) udział w niem każdego „spólnika". Tak powstał rozbrajający doprawdy „zarzut": braku ścisłości, gdyż nie określono „na czem wspólność dobra zbiorowego polega i jakim ma być w niem udział poszczególnych obywateli". Taka koncepcja państwa, żywo przypominająca pogląd Bogusława Radziwiłła (z sienkiewiczowskiego *Potopu:* „postaw sukna"!), uniemożliwia zrozumienie tej konstrukcji, którą zamierzali dać twórcy Projektu. Trudno też zrozumieć autora, skoro usiłuje podważyć wartość naukową tej koncepcji zarzutem, że (koncepcja ta) nie jest „niczem specyficznie polskiem, jest formułą, która może być zastosowana do wszystkich państw i do wszystkich czasów". Toż to nie zarzut w naszem rozumieniu — lecz najwyższa pochwała!

Autor ma jednakże jeszcze jeden „poważny" zarzut pseudonaukowy: „Nowa Konstytucja, dając nowe pojęcie Państwa, nie określa tego, co ze stanowiska ustrojowego ma znaczenie istotne (!): źródła władzy państwowej". Tu zacytowany jest art. 5 Konstytucji majowej i art. 2 marcowej i następuje konkluzja: „Naród Polski był źródłem władzy w Polsce przedrozbiorowej. Był niem również w pierwszym, najtrudniejszym okresie Polski Odrodzonej. Czy jest niem w ustroju, który tworzy nowa Konstytucja? Nie jest. Nowa Konstytucja nie uznaje bowiem pojęcia Narodu".

Tak zatem dowiadujemy się, że „ze stanowiska ustrojowego — znaczenie istotne (!) ma określenie źródła władzy państwowej". Autor mógłby się nawet powołać na taki autorytet „naukowy" jak Jan Jakób Rousseau. Ale nauka od tego czasu „postąpiła" nieco naprzód. Znane jest w świecie naukowym dzieło niedawno zmarłego prof. Duguita: *Traité de droit constitutionnel* (kilka wydań), a i u nas praca prof. Wacława Makowskiego: *Reklama polityczna a t. zw. wola społeczna* ukazała się właśnie w II wydaniu.

T. zw. nauka o państwie długo była terenem, na którym fantazja i niedorzeczność walczyły o prym, powoli jednak wyłaniają się granice między nauką a demagogją. I tylko w ramach tej ostatniej schron mogą znaleźć frazesy i mętne wywody o źródle władzy.

Autora uderza w Projekcie „nieznane dotąd prawu państwowemu pojęcie pokolenia". Wskazałem już na deklaratywny charakter *Zasad ogólnych* Projektu. Tak je ujmując, przypomnijmy sobie wstęp—niejednokrotnie za wzór przez autora stawianej—Konstytucji marcowej: „My, Naród Polski, ...wspominając z wdzięcznością męstwo i wytrwałość ofiarnej walki pokoleń..." A zatem pojęcie Konstytucji marcowej—znane!

P. Chmurski wogóle podchodzi do tych zagadnień bardziej autorytatywnie, niż kompetentnie. Bo to przecież, że jakieś pojęcie było dotąd nieznane „prawu państwowemu", nie może być dostatecznym argumentem, by tego pojęcia nie wprowadzać. Przecież chyba autor—zwolennik „wolności obywatelskich" (str. 38)—nie chciałby ograniczać pomysłowości naukowej? Zresztą zarzut pozostaje bez uzasadnienia: „Pojęcie społeczeństwa, które należy nie do prawa państwowego, lecz do nauk społecznych, ma zastąpić pojęcie Narodu". Termin „naród" jest tak wieloznaczny, że wskazane zewszechmiar jest wprowadzenie terminu „społeczeństwo" (lepiej: społeczność państwowa, jak już u Arystotelesa) obok terminu „naród" (w znaczeniu „narodowość").

Autor krytykuje art. 2: „W Jego osobie (Prezydenta Rzeczypospolitej) skupia się jednolita i niepodzielna władza państwowa". Uważa, że „argument o potrzebie rozjemcy w wypadkach konfliktów, które wynikają między trzema władzami", jest niedostateczny. „Konflikty takie mogą niewątpliwie powstawać, powstają jednak tylko wyjątkowo (?). Ze względu na swój wyjątkowy charakter nie mogą więc usprawiedliwiać wniosku, że należy znieść (?!) wszystkie władze i ustanowić tylko jedną" (str. 42). Nie wiem, jak autor pogodzi ten swój wniosek o „zniesieniu wszystkich władz" z art. 3 („Organami Państwa, pozostającemi pod zwierzchnictwem Prezydenta Rzeczypospolitej, są: Rząd, Sejm, Senat, Wojsko, Sądy, Kontrola Państwowa oraz Samorząd terytorjalny i gospodarczy"), widoczne jednak jest niezrozumienie konstrukcji Projektu, według której Prezydent jest władzą zwierzchnią, obok której mamy (—jakżeby inaczej?) cały szereg podgrup władzy. Konstrukcja ta jest oczywiście odmienna od Monteskjuszowej, i dlatego autor, który rozpatruje koncepcje Projektu ze stanowiska starej, odrzuconej przezeń doktryny, popełniać musi ciągle błędy interpretacyjne, nieraz ogromnie jaskrawe. Mści się tu podchodzenie do rzeczy od strony szczegółów drugoplanowych, miast od konstrukcji podstawowej.

Analiza interpretacyjna p. Chmurskiego grzeszy też nieraz zbyt daleko idącą dowolnością. Tak np. czytamy: „Uprawnienia... Prezydenta Rzeczypospolitej, które nowa Konstytucja w części szczególnej wylicza, mają charakter tylko przykładowy (?!), bo już z określenia stanowiska Prezydenta Rzeczypospolitej, jako Zwierzchnika i Czynnika Nadrzędnego, wynikają (!) wszystkie jego uprawnienia. W razie wątpliwości, należy przyjąć (!), że dany akt państwowy należy do kompetencji Prezydenta Rzeczypospolitej, z wyłączeniem jakiegokolwiek organu Państwa". Trzeba przyznać, że jeśli autorowi chodziło o zaskoczenie niekompetentnego czytelnika racą paradoksu, to mu się to zapewne uda. Nie starajmy się jednak wnikać w to, co pomyśli czytelnik o „metodach interpretacyjnych" autora, po przeczytaniu art. $20_1$ Projektu: „Rząd kieruje sprawami Państwa, niezastrzeżonemi innym organom władzy".

Nie można w ramach recenzji wyczerpać wszystkich błędów książki. Można tylko przykładowo, ilustracyjnie—wskazać niektóre.

Obok „krytyki" Projektu rozprawa daje również pewne wskazania pozytywne. Opierają się one na tem, co autor nazywa „duchem dziejów Polski". „Nasz rozum stanu i instynkt narodowy, nasza godność i duma wielkiego Narodu wymagają, żeby budując nowy ustrój Państwa, czerpać idee ustrojowe z bogatego skarbca polskiej myśli politycznej, żeby zachować wierność ideałom przodków naszych i żeby pójść szlakiem duszy polskiej. Nowa Konstytucja winna być wyrazem ducha dziejów Polski".

Pięknie, ale narazie tylko frazesy — zobaczmy, jaką treść kryje „duch dziejów Polski".

Oto—„Myśl polityczna Polski przedrozbiorowej, która zaczęła się kształtować już w połowie XV wieku i która kształtowała się do końca XVIII wieku, a więc przez trzy i pół wieków, szła w jednym kierunku—jak najdalej idącej wolności osobistej i ciał zbiorowych... W stosunkach wewnętrznych rozwój szedł w formie przywilejów dla szlachty, warstwy, która stanowiła wówczas Naród... Znamię charakterystyczne, treść istotną życia publicznego w dawnej Polsce stanowiła złota wolność. Duch dziejów Polski był duchem wolności".

Taką „rację" stanu reprezentuje autor.

Dodaje też w związku z Konstytucją majową: „Pomimo sąsiedztwa z rządzonemi autokratycznie państwami—Rosją, Prusami i Austrją, Rzeczpospolita Polska nigdy na ich ustroju się nie wzorowała" (str. 265).

Wydaje mi się, że trudno zharmonizować gloryfikację „złotej wolności" z poglądem autora na Niemcy Hitlera: „Ze stanowiska polskiego nowy ustrój Rzeszy Niemieckiej posiada szczególną doniosłość ze względu na cel, któremu służy i do którego został ściśle dostosowany. Państwo Hitlera—to wielki obóz wojenny, zwrócony frontem na Wschód. A na Wschodzie graniczy z Trzecią Rzeszą—Rzeczpospolita Polska" (241).

Co innego wzorować się—a co innego realizować słuszne postulaty wyposażenia odpowiedzialnego rządu w odpowiednie kompetencje.

W obszernej książce p. Chmurskiego—przyznać trzeba—znajdujemy też sporo słusznych uwag i obserwacyj,—niestety gubią się one w „mozaice" wywodów.

Autor ustosunkowuje się do Projektu negatywnie. Możemy go ostatecznie zrozumieć: wiemy dobrze, jak trudno jest się wyzbyć nałogów myślowych, w których się człowiek wychował i z któremi się zżył. Każda nowa teorja naukowa (fizykalna, biologiczna czy inna)—nawet genjalna—(a nie twierdzę bynajmniej, że każda nowa jest genjalna!) natrafia na opór dogmatycznych umysłów. Łatwiej bo płynąć wyżłobionem korytem, niż wytyczyć nową drogę. Nikt też nie może mieć pretensji do kogoś o to, że ma takie, a nie inne sentymenty. Sytuacja zmienia się jednak zasadniczo, jeżeli taki „ktoś" na poważny wysiłek intelektualny bliźniego, który mu przedstawia uzasadniające jego pogląd argumenty—mniejsza o to w tej chwili, czy zupełnie słuszne, czy nie,—odpowiada: „a mnie się to nie podoba..." To jest już nietylko irytujące, ale—oburzające. Z chwilą bowiem, gdy idzie o pewne konstrukcje teoretyczne z tej czy innej dziedziny, obowiązują inne kryterja, niż prymitywne: podoba się—nie podoba się. Otoczka uczucia towarzyszy zresztą niewątpliwie każdej pracy czy decyzji naukowej, oddziaływując na nią w większym lub mniejszym stopniu. Nie „przystoi" jednak wysuwać sentyment jako ostateczny sprawdzian teoryj naukowych. Można zatem mieć sentyment dla takiej czy innej teorji ustrojowej, ale nie można na tej tylko podstawie—zbyt wąskiej—pisać książek. Raczej: nie „wypada", bo, że można...

P. Chmurski nie uchwycił jasno nowej konstrukcji ustrojowej, nie mógł przeto rozprawić się z argumentami, które ją wspierają, nie przytoczył objektywnych naukowych kontrargumentów.

O tem, że autorom Projektu zależało na poważnej dyskusji (autor zarzuca, że „opinja publiczna nie mogła się wypowiedzieć"), świadczy najlepiej ankieta Komisji Konstytucyjnej Sejmu, zwrócona do znawców prawa konstytucyjnego. Trudno natomiast przywiązywać większą wagę do „rozważań i dyskusji szerokich mas obywateli".

Książka p. Chmurskiego pozostawia pod tym względem smętne refleksje. Jeżeli jedyną racją stanu dla prawnika, którego nie mamy najmniejszych podstaw podejrzewać o brak dobrej wiary, jest—„złota wolność", to cóż dopiero mówić o tych obywatelach, którzy nie dysponują odpowiedniem wykształceniem, pozwalającem na orjentację w kwestjach ustrojowych. Jakże wdzięczne pole do pracy ma tu demagog! Rozumienie spraw ustrojowych jest rzeczą rzadką, dlaczego więc decyzję w tych kwestjach powierzać właśnie tym, którzy nie mają odpowiednich kwalifikacyj? Grupa państwowa musi przedewszystkiem przez rozkład obowiązków zapewnić ład i bezpieczeństwo, by w tych dopiero warunkach znalazło się miejsce dla wolności i praw. Z tego stanowiska wychodząc, zrozumiemy konstrukcję ustrojową Projektu i unikniemy nieporozumień takich, jak w omawianej książce.

BOHDAN WINIARSKI: *My i Oni w walce o Konstytucję.* Poznań 1935.

P. Winiarski, profesor prawa międzynarodowego na Uniwersytecie Poznańskim i poseł na Sejm z ramienia Stronnictwa Narodowego, ogłosił obecnie drukiem treść swych odczytów w Narodowem Zrzeszeniu Adwokatów w Warszawie. Przedmiotem broszury jest projekt Ustawy Konstytucyjnej, uchwalony 26 stycznia 1934. Przeciwstawia mu autor „Zasady ustrojowe" Stronnictwa Nar., a poprawkom Senatu poświęcił niecałe 5 stron. W przedmowie stwierdza p. Winiarski, że „tym sposobem Czytelnik otrzymuje zwięzły, ale wyrazisty komentarz do zamierzonej ustawy..."

W tem określeniu: „wyrazisty komentarz" dźwięczy dosadna, choć niezamierzona, autokrytyka broszury. Właśnie: wyrazisty, nie objektywny, spokojny i trzeźwy...

Autor rozróżnia dwa punkty widzenia dla oceny ustawy konstytucyjnej: techniczno-prawny i prawno-polityczny. To ostatnie kryterjum „precyzuje" p. Winiarski tak: „czy idea, która leży u podstaw projektu (powinna leżeć!) jest trafna, słuszna, jeszcze lepiej: wielka, czy jest w zgodzie z charakterem, poczuciem prawnem, moralnością, cywilizacją narodu..." i t. d.

Ile pięknych słów?! Ale jeśli słowa mają coś znaczyć, jeśli nie zadowalamy się „miłem" dla ucha brzmieniem, to treść terminów, skupionych w jednem zdaniu przez p. Winiarskiego wcale nie jest „pięknie" zarysowana. Tem bardziej, że „poczucie prawne", „cywilizacja narodu", „idea wielka" i t d.—to mają być kryterja oceny, a więc odpowiednio jasne, jednoznaczne... A dalej autor nie zaznaczył, kto ma decydować o tem, czy „idea jest w zgodzie..." Nie wielkiej jednak domyślności wymaga odpowiedź: „w zgodzie z charakterem, poczuciem...", jeśli tak orzekną panowie ze Stronnictwa Narodowego.

Uzbrojony w „niezawodny" oręż frazeologji partyjnej, autor rusza do ataku z niebywałym temperamentem polemicznym, który nikogo nie zdziwi...—wszak odczyt miał być „wyrazisty". Poniosły też p. Winiarskiego emocje tak dalece, że

na jednej stronie broszury przeczy temu, co napisał na drugiej. I tak znajduje w Tezach Konstytucyjnych—„nastawienie moralne“ (bardzo przejrzysty chwyt demagogiczny!), które b e z t r o s k o  u s u w a  B o g a, Naród, Prawo“. (Str. 19). Na str. zaś 18 czytamy: „Tezy Bloku rządowego o B o g u  w s p o m i n a j ą tylko poto, aby na Boga i historję przerzucić odpowiedzialność za Prezydenta...“ To dopiero zręczna i pomysłowa „interpretacja“. Czytelnik (lub słuchacz) już nic nie wie: jest Bóg w tezach, czy Go „beztrosko usuwają“, równocześnie zwalając nań odpowiedzialność za Prezydenta (!)... Czytelnik broszury p. Winiarskiego może nie mieć przed sobą tekstu i nie skonfrontować art. 2 ust. 2 z interpretacją... Gdyby to uczynił, przekonałby się oczywista, że nie Bóg jest odpowiedzialny za Prezydenta, lecz na Prezydencie—„spoczywa odpowiedzialność wobec Boga i historji za losy Państwa“.

Oprócz frazesów i chwytów demagogiczno-agitacyjnych sporo także w broszurze p. Winiarskiego błędów, które wynikają z braku kultury semantycznej. Ponieważ błędy takie popełnia się dość często, a sprawa to d u ż e j  w a g i, przeto poruszę tu tę kwestję.

Nawet w „nauce“ prawa politycznego, a nie tylko w pracach publicystycznych nie uwzględnia się konsekwentnie faktu wieloznaczności terminu „władza“, wskutek czego powstaje wiele nieporozumień. Zgrubsza rozróżnić można dwa znaczenia: 1) „władza“—to jednostka lub grupa, która wykonuje dane funkcje, skoro zajdą okoliczności $k_1$—k , 2) „władza“—to kompetencja, a więc funkcje, wykonywane (wzgl. te, które mają być ewentualnie wykonane) przez odpowiednią jednostkę lub grupę. W tem drugiem znaczeniu termin „władza“ jest wyrażeniem skrótowo-zastępczem, gdyż żaden przedmiot, oczywista, nie jest władzą tak rozumianą. Najjaskrawiej uwydatnia się ta dwuznaczność, jeśli ktoś mówi, że „władza (jednostka) ma władzę (kompetencję)“. By uniknąć nieporozumień, wynikających z tej dwuznaczności, może najdogodniej byłoby używać terminu „władza“ t y l k o  w  s e n s i e, wyróżnionym pod 1). Jan (lub grupa A) zatem jest władzą, to tyle co: Jan (lub grupa A) wykonuje (wzgl. ma wykonać) odpowiednie funkcje, wyszczególnione w sposób taki a taki. Zachowuje się więc przy takiem użyciu słowa „władza“ bardzo popularną intencję znaczeniową, która uwydatnia się m. i. choćby w zwrocie „panie władza“, często używanym przez szerokie warstwy szczególnie w stosunku do funkcjonarjuszy P. P. Zamiast zaś używać terminu „władza“ w drugiem znaczeniu,—dogodniej byłoby mówić kompetencja (np. Rady Ministrów).

To rozróżnienie występuje wprawdzie u p. Winiarskiego, ale zupełnie nie „obligatoryjnie“. I tak powiada (str. 20): „Zasada (podziału władz) polega na tem, że się wyodrębnia zasadnicze f u n k c j e państwowe... i powierza się je osobnym o r g a n o m...“ W tem samem zdaniu dodaje autor: „...prawo przepisuje sposoby u z g a d n i a n i a  w ł a d z“ (a więc odpowiednich podgrup grupy władzy, wydzielonej w danym odcinku czasu *t* z pośród społeczności państwowej), a w następnem już mówi: „skupienie c a ł e j  w ł a d z y w ręku jednego człowieka czy grupy...“ (władza zatem w znaczeniu: kompetencja). Stąd wynikają liczne nieporozumienia. Gorzej—autor dyskutuje nie z koncepcją Projektu, lecz z własną interpretacją, która tylko zewnętrznie przypomina konstrukcję autentyczną (np. gdy zajmuje się Prezydentem Rzeczypospolitej).

Pozostając w zgodzie z treścią odpowiednich artykułów, a następnie po skrupulatnem przemyśleniu konstrukcyj Projektu, trudno nie zauważyć pewnego z góry powziętego przez autora broszury „nastawienia stosunkowego“, które dla gotowych wniosków „szukało i znalazło“—„uzasadnienie“.

„Tezom“ przeciwstawia autor—„zasady ustrojowe“ Stronnictwa Narodowego. Frazesy i negacja—oto wszystko, nic twórczego, ani śladu racji stanu. Posługując się tak „precyzyjnemi“ pojęciami, jak: „Naród jest żywą siłą twórczą, organizmem psychicznym (!), osobą moralną (!!)“ i t. p., autor grzęźnie w bagnie frazeologji.

*AL. S.*

# KONKURS POETYCKI POŻYCZKI INWESTYCYJNEJ

W dniu 1 kwietnia 1935 roku w Redakcji *Pionu* Jury Konkursu Poetyckiego Pożyczki Inwestycyjnej w składzie pp.: Włodzimierza Antoniewicza, Juljusza Kaden-Bandrowskiego, Karola Krzewskiego, Leopolda Staffa i Melchiora Wańkowicza, po rozpatrzeniu prac nadesłanych, przyznało nagrody, które, po otworzeniu kopert, przypadły następującym autorom:

1-sza nagr. w kwocie 750 zł.—Tadeusz Hollender,
2-ga „ „ „ 500 „—Władysław Sebyła,
3-cia „ „ „ 350 „—Antoni Bogusławski,
4-ta „ „ „ 250 „—Tadeusz Łopalewski,
5-ta „ „ „ 150 „—Marjan Hemar,
6-ta „ „ „ 100 „—Stanisł. Młodożeniec.

Praca oznaczona godłem „Grosz do grosza“ wobec zastrzeżenia, że może być otwarta tylko w wypadku przyznania 1szej lub 2-giej nagrody, ponieważ nie otrzymała ani pierwszego, ani drugiego miejsca, została wycofana z Konkursu.

## *OBYWATELU!*

*Obywatelu! — Patrz, oto staje*
*Interes czysty, jasny jak szkło.*
*— Państwo pożycza — Państwo oddaje!*
*— Tysiąc za jeden! Miljon za sto!*

*Obywatelu! — Chcesz być bogaty,*
*Pięćdziesiąt złotych natychmiast wpłać!*
*Za swych pięćdziesiąt złotych na raty*
*Półmiljonerem możesz się stać.*

*Tysiąc za jeden — to bardzo wiele,*
*Dlatego dobrze przemyśl i zważ.*
*Oto loterja — Obywatele!*
*Nie ryzykujesz! Zarabiasz! Grasz!*

*TADEUSZ HOLLENDER*

*

*Twój grosz! Mój grosz! A gałęzie gościńców rozkwitną.*
*Ładowne barki popłyną równem wiślanem korytem,*
*Wstęgi stalowych szyn, grzmotem pociągów przykryte,*
*Strzelą prostemi torami w ziemi dalekość błękitną.*

*Twój grosz! Mój grosz! A bezczynne uderzą oskardy,*
*W zębach żelaznych zgrzytną miażdżone na mąkę skały,*
*I tam, gdzie kiedyś w roztopy wody gnijące stały,*
*Pod nogi się twoje położy szlak ubity, równy i twardy.*

*Dla ciebie, dla mnie, dla synów naszych budujemy dworzec!*
*Musi być mocny i trwały, wrośnięty w ziemię i prosty.*
*Prostujmy rzeki ku morzu! rzucajmy strzeliste mosty!*
*Wszyscy dla wszystkich! A wtedy i Bóg pomoże.*

*WŁADYSŁAW SEBYŁA*

# SŁUCHOWISKA RADJOWE

Istnieje szereg oznak, że stan jazzbandowania kulturalnego w Polsce nie będzie się pokrywał z życiem kulturalnem mas.

Przez stan jazzbandowania rozumiem, nie żadną, broń Boże, anarchję kulturalną, ani żadną depprawację, ani rozwydrzenie. Mówiąc o nim, mam na myśli ten masaż muzyczny, jak nazwał jeden z naszych literatów stosunek mas do audycyj muzycznych Polskiego Radja. W innych dziedzinach mamy masaż literacki, malarski i t. p. Ten jazzband kulturalny ma tam wszędzie miejsce, gdzie masa percypująca nie wiąże go z własnemi potrzebami, gdzie go przyjmuje jako ubarwienie życia, umilenie walki o byt, ale nie jak życia tego potrzebę, pomoc istotną, naukę.

Że związanie zagadnień kulturalnych z potrzebami życia codziennego jest możliwe, świadczy znowuż przykład obu naszych sąsiadów. I jeśli o Niemczech mówimy, że na to pracowały wieki, to przecież w Rosji przerobiono tę pracę w ciągu ostatnich piętnastu lat. Naskutek tego atmosfera w obu tych krajach jest lepsza niż w Polsce, chociaż system i w Niemczech i w Rosji jest bardziej dławiący, policyjny. Ale dusze ludzkie są otwarte.

Czy naprawdę nie możemy pokusić się o otwarcie dusz ludzkich w Polsce? Bo przecież jeśli tego nie zrobimy, wszelkie nasze zamierzenia, wszelkie reformy społeczne spełzną na niczem. Dopokąd publiczność będzie mówiła: „Magistrat buduje tramwajową linję“, albo „Rząd przeprowadza trasę kolejową“, dopóki prawa obywatelstwa nie otrzyma cudowny zaimek „my“ — nie wyjdziemy z kryzysu, który stabilizuje się jak rdza.

Czyż naprawdę nie możemy pokusić się o otwarcie dusz ludzkich, mając za sobą tyle rzetelnej pracy, tyle osiągnięć, tyle poświęceń, tyle przelanej krwi, tak wielki mozół?

Jeśli baraki dla bezrobotnych, nędza wsi, głodowe zarobki wielkiej części ludności budzą w nas wyrzuty sumienia, to przeprowadźmy rachunek. To odbądźmy pokutę. Ale nie przemykajmy się milkliwie koło zagadnień kulturalnych, nie przemykajmy się w zażenowanem noszeniu belek pod jakieś tam coraz nowe budowy koło tych zakrzepłych zbiorowisk ludzkich, dla których tymczasem każemy grać kulturalnym jazzbandom.

To jest dla wszystkich jasne. Po uporaniu się z organizacją spraw gospodarczych i spraw bezpieczeństwa nowopowstałego państwa, stajemy przed zadaniem podbudowy materjalnej pod organizację kultury w Polsce.

Człowiek, że użyjemy porównania Gide'a, ilustrującego teorję ekonomiczną t. zw. „wartości krańcowej“, skoro się napił z pierwszego uzyskanego kubełka wody, skoro z drugiego kubełka napoił zwierzęta, a z trzeciego podlał rośliny, to czeka z upragnieniem na czwarty, aby móc się wymyć — i to pragnienie jest równie silne, równie warunkujące możność dalszej owocnej pracy.

Stworzenie *Pionu*, powołanie Towarzystwa Krzewienia Kultury Teatralnej, ugruntowanie Akademji Literatury, raz po raz wybuchające dyskusje na temat ustawy o bibljotekach gminnych, o konieczności Izb Kultury, Ministerstwa Propagandy, ingerencja w sprawy prasowe, w sprawy wydawnictwa podręczników, przeniesienie do Warszawy wydawnictwa państwowego książek szkolnych — to są wszystko oznaki narastającej potrzeby, to są wszystko oznaki poszukiwań — może nawet nieraz nieudanych, niemniej jednak idących po linji, którą pójdzie życie, bo iść musi. To jest ów czwarty kubełek.

Aby podjąć tę organizację życia duchowego Polski, musimy zerwać z hipnozą. Zdaje nam się, że do tego trzeba wielkich środków, przerastających nasze możliwości materjalne, wielkich wysiłków moralnych, potrzebnych dla przezwyciężenia inercji mas, i wielkiej ostrożności, ażeby spraw kultury nie „zgleichschaltować“ na etatystyczne kopyto.

To są wszystko mary, nie mające nic wspólnego z rzeczywistością.

Te wszystkie mary wiodą się z czasów niewoli. Poprostu, rozpacz bierze, kiedy się mówi w siedemnastym roku niepodległości z ludźmi o naszych sprawach kulturalnych. Ci sami dzielni obywatele, którzy przed chwilą z dużem poczuciem rzeczywistości mówili o eksporcie bekonu albo o szarwarku drogowym, niezwłocznie, kiedy mowa zajdzie o sprawach organizacji form materjalnych kultury, stają się pięknoduchami z epoki Młodej Polski, z epoki modnych rozmów o „nagiej duszy“, tak jakby od tych czasów nic się nie zmieniło, tak jakby te sprawy zależały nadal i wyłącznie od ich czarnych fontaziów i aksamitnych kurtek.

Jeżeli wypadkiem uda się tych ludzi nakłonić do realnego myślenia, to wpadają w drugą ostateczność: poczynają patrzeć na państwo jako na rzecz gotową. Niema książek na wsi? — Pięknoduch w pierwszej fazie bredzi o oświaty kagańcu i o tem, że „z czasem“ książki „zabłądzą pod strzechy“, a już w drugiej — każe obłożyć obywateli podatkiem i sprawa załatwiona. I w tym i w tamtym wypadku — nie ma poczucia możliwości, jakie daje istotnie użyta niepodległość, nie zaś, poprostu, aparat biurokratyczny. Dopuścić pięknoduchów do spraw organizowania podstaw materjalnych kultury — to jest dopiero, aczkolwiek wyda się to paradoksem, uciąć koncercik etatystyczny, papierowo biurokratyczny pierwszej klasy.

Tymczasem jeśli idzie o środki — są one niezmierzone, nie w dodatkowych podatkach, ale w organizowaniu zanarchizowanych form, w jakich wytwarzamy nasze dobra kulturalne. Ta suma, naprzykład, którą kraj wydaje na produkcję książki, nasyciłaby znakomicie jego potrzeby kulturalne, pozwoliła na szereg poczynań deficytowych i inwestycyjnych, gdyby znalazły się czynniki, które tę produkcję unormują — ku ostatecznemu zadowoleniu księgarzy, teraz zżeranych przez bezsensowną hyperprodukcję. Tym sprawom specjalnie poświęcę następny artykuł.

Jeżeli idzie o to, że masy nie chcą nic poważniejszego, to jest to nieprawda. Masy nie chcą spekulacji. Masy są wdzięczne za szczerość. Czy zastanowiliśmy się, czemu szła *Dzikuska?* Bo była szczera. Bo kiedy Zarzycka (w powieści, zdaje się, *Jawnogrzesznica*) pisze o bohaterce, która występowała w *music hallu*, obsypywana przez adoratorów brylantami i luksusem, że wychodząc za hrabiego, pyta go w noc poślubną „skąd się biorą dzieci?“ — to Zarzycka zachwyca się swą bohaterką, wierzy, że tak mogło się zdarzyć. Wiara się udziela tysiącom biednych dziewcząt, dla których przecież posiadanie nowej sukienki i zachowanie cnoty jest kamieniem filozoficznym. Niechby taki *trick* sprobował wyprodukować jakiś męski spekulant, jakiś Marczyński — całe to towarzystwo wyświeciłoby go za obręb swego czytelnictwa, boby poczuło, że się „nabija“ z czytelnika.

Lord Northcliffe miał pouczać swych redaktorów: „Pamiętajcie, że choćbyście mieli czytelnika za nie wiem jak głupiego, on jest zawsze jeszcze głupszy; jeśli tylko macie jakiekolwiek wątpliwości, zawsze dobrze zrobicie, wykreślając lub poprawiając“. Ale lord Northcliffe miał rację, mówiąc tylko o rzeczach zewnętrznych — formy. Jeśli chodzi o treść, czytelnik nie pozwala spekulować. Jest to moje najmocniejsze przekonanie, oparte na dziesięcioletniem kierownictwie sprawami wydawnictwa, które wydało około dwu tysięcy tomów. Czytelnik nieraz żąda literatury wypoczynkowej. Ale wie wówczas, co kupuje. Umowa musi być jasna. Czytelnik nie cierpi spekulacji i nabijania go w butelkę. Ostatecznie trudno mu się dziwić. Życie nasze jest krótkie i każdy o nie zazdrośnie walczy. W tej walce każdy ma dostateczny dla siebie rozum. Mówić, że dla tego, najbiedniejszego choćby, życia ludzkiego nic już nie trzeba poza literaturą wypoczynkową, jest to strasznie pomiatać życiem, które jest cudownem zjawiskiem w byle stworzeniu, a tem bardziej w człowieku. Tak mówią ci, co są poza życiem, ci co spekulują. Są to straszne młodopolskie spustoszenia w państwie, które tak porządnie pracuje. Czas z tem skończyć.

Czytelnik książki, prenumerator pisma, słuchacz radja, bywalec teatralny — są do brania pełnemi garściami. Byle ich szanować. I byle mogli to wszystko gdzieś otrzymać.

Powyższe uwagi mają starczyć i na ten artykuł i na następny — o księgarstwie. Dlatego tak się rozrosły. Dalej chciałbym się ograniczyć do refleksyj na marginesie pewnej konferencji w Radjo, na którą zaproszono nas w tych dniach. Proszę te refleksje brać na tle wszystkiego, co się powiedziało wyżej.

Konferencja była znamienna. Świadczy ona o narastaniu w kierownictwie Radja tej świadomości — własnych sił, wielkich możliwości organizowania życia kulturalnego, które sygnalizowaliśmy w rozważaniach ogólnych.

Jak powstało radjo? Był mrowiący się tłum ludzi, zajętych swemi sprawami. Należało go zabawić. Sztuczka samogrająca w domu nadawała się doskonale do tego celu. Wszystkie sztubaki zachorowały na radjomanję. W pierwszych latach radja najostrzejszą sensacją było, że ktoś je urządził poprostu w kapeluszu, ale już w następnym tygodniu ktoś pobił rekord, umieszczając odbiornik w papierośnicy. Cud techniki olśniewał i dominował w umysłach.

Kiedyśmy się nieco otrzaskali z tem wszystkiem, radjo się zadomowiło na szereg lat jako gramofon. Bywało wygodne dla pani domu, bawiło młodzież. Pan domu, który zbyt wiele słuchał radja, wywoływał lekki

niesmak, coś jak synekurzysta, filister, człowiek bez nerwu pracy, który ma dużo czasu. To też mężczyźni zwykli mówić, że trzymają radjo w domu, patrząc na nie jak na telefon: zdarza się raz na miesiąc transmisja z jakiego ważnego zdarzenia — ma się możność posłuchania.

Spotykałem kierowników odpowiedzialnych Radja, którzy sami się nałożyli do tego rodzaju pojmowania instytucji, którą prowadzą. Kiwali głową z aprobatą i zrozumieniem, kiedy im mówiono, że głośnik się stale trzyma zamknięty. „Przygrywamy na tem radjowem tirli-tirli nicnierobom, wesołkujemy jak możemy i upatryjotyczniamy się, ale rozumiemy, że to nie dla poważnych ludzi".

Aż wreszcie przyszli ludzie chętni, o świeżem spojrzeniu, wzięli ołówek w rękę i wyliczyli ot chociażby to, że pieniądze, jakie wpłaca Polskie Radjo różnym twórcom i odtwórcom, wielokrotnie przenoszą najśmielej pomyślane subsydja, jakie na cele kultury narodowej asygnuje państwo. Podliczyli i zamyślili się. Powiedzieli sobie, że jest tu stanowczo coś do zrobienia.

Mam wrażenie, że z takiej konkluzji wypłynęła konferencja, na którą nas zaprosili.

Konferencja pomogła zrozumieć duszę radja. Każdy, kto przemawia przed mikrofonem, dorabia się empirycznie pewnych spostrzeżeń. Narazie zaczyna dorabiać akcentowaną modulacją brak ilustracji gestem i żywym kontaktem z publicznością. Chce w ten sposób wesprzeć słowo. Potem mu znajomi mówią, że włożył za wiele patosu, którego nie spotykali w jego przemówieniach publicznych. Następnym razem jest ostrożniejszy. Zamiast wzmacniać, właśnie tuszuje słowo, podając je przez mikrofon. Słowo nagie, wyzute z gestu, z osłonek, jaśnieje takiem światłem, że należy nakładać na nie matowy klosz.

Te spostrzeżenia, poczynione z powodu moich odczytów radjowych, ugruntowały się we mnie ostatecznie, kiedym słuchał Jaracza i Brydzińskiego, którzy w czasie tej konferencji radjowej na poczekaniu odegrali fragment słuchowiska, które zostało schwycone na stalograf i niezwłocznie przez głośnik ze stalowej wstęgi nam powtórzone.

Dopiero wsłuchując się w głos wyzwolony i nagi Jaracza, płonący jak światło ku górze, jak światło, którego źródła nie widać, zrozumieliśmy, jak wielkiem sanktuarjum żywego słowa jest głośnik. Jaracz grał rolę przestępcy i wykolejeńca. Ten prześmieszek jego spowinięty w mgłę smutku i zadumy, ta dwutonowość głosu, w którym na czarnym tragicznym nurcie turlika się drobny śmiech — pancerz życia, — nie, to nie wychodziło tak dobrze, kiedyśmy słuchali Jaracza „żywcem". Słuchając tej podwójnej wersji pomyślałem, że zachodzi tu podobny proces, jak w dziele beletrystycznem. Moda ilustrowania tekstów dawno minęła. Nigdy rysownik nie stworzy tego, co sobie podpowie fantazja czytelnika. Ilustrowanie tekstu zacieśnia, zuboża jego przeżycia.

Jeśli tak jest, jeśli otrzymujemy narzędzie, w którem w niespotykanym dotąd majestacie sublimuje się Jego Majestat S ł o w o, jeśli więc głośnik nietylko nie jest ułomną namiastką, ale korektorem, wzmacniaczem, to jakże dalekie pola, jakie perspektywy otwierają się przed ambitnymi ludźmi dobrej woli, którzy zechcą zerwać z tradycjami radja, jako przyjemnie brzęczącej pozytywki? To właśnie tu, rozporządzając potężnemi środkami technicznemi, mogą oni mówić o sprawach kultury narodowej nie jak nieodpowiedzialni inteligenci, ale jak pracownicy niepodległego państwa.

Teraz już tylko krok jeden pozostaje. Aby audycje widowiskowe dobrze uposażyć. Nie będzie to nierozsądne, jeśli się powie, że to jest sznur ciągłych premjer, rozgrywanych przed najpotężniejszem audytorjum, jakiego żaden teatr nie mógłby sobie wyobrazić. Nie będzie to nierozsądne, jeśli zmusi najlepsze nasze siły literackie do „wyżywania się" przez radjo. Dotąd zwykle *(mea culpa)* traktowało się radjo jako dodatkowy zarobek za feljeton, który ma być i tak umieszczony w prasie.

A jeśli już tak sprawę zacznie stawiać i zarząd Radja i ogół literacki, to cóż za perspektywy się zarysowują przed ludźmi, którzy mają ambicję stwarzania podbudowy materjalnej pod organizację życia kulturalnego!

Śmiem twierdzić stanowczo, że większe istnieje u odbiorców dóbr kulturalnych napięcie w odbiorze, niż u wytwórców dóbr kulturalnych w nadaniu. Najgorzej zaś działa transpozycja, to co się nazywa w sprawach księgarskich kolportażem.

Otóż pisarz może napisać książkę, której nikt nie będzie czytał. Księgarz może wydać książkę, która będzie zalegała składy. Między momentem wyprodukowania a momentem konsumcji istnieje zamglony, niewiadomy, niepewny interwal kolportażu. W radjo ten interwal jest sprowadzony do minimum: otwarcie głośnika, oto jest wszystko, czego się żąda.

Niesłychanie niewyeksploatowana jest chłonność naszych mas. One pragną. Mam prawo to mówić, bo przecież doświadczam zaniku tej chłonności na własnej kieszeni. I dlatego stanowczo stwierdzam. To nie oni są winni, ale my — pisarze, wydawcy, kierownicy działów programowych, kolporterzy — my wszyscy, powołani do dawania form materjalnych życiu kulturalnemu kraju.

Ożenić radjo z literaturą, dawać praprejmjery dzieł literackich, które dopiero mają się ukazać. Dawać je dobrze wybrane, świetnie przygotowane przez najlepsze siły aktorskie, mieć ambicję stworzenia szeregu festivalów, szeregu świąt polskiego słowa, tworzyć z każdego takiego święta zdarzenie dnia, znajdujące oddźwięk w recenzjach prasowych i w polemikach, zrobić słowo monetą obiegową w społeczeństwie — to znakomicie to społeczeństwo scałkować, uodpornić, to w miljonach dusz ludzkich przeciągnąć jeden kabel porozumienia, to jest dla trzydziestotrzymiljonowego organizmu ludzkiego stworzyć wspólny język i wspólne przeżycia.

W ten sposób wypełni się połowa zadania części głosowej Polskiego Radja.

Czemu połowa?

Bo tu literatura otrzyma podszewkę życia. Idzie o to, aby w innym dziale, w reportażu, życie otrzymało podszewkę literatury.

Ale o tem nie piszmy narazie, dopóki nas Radjo nie zaprosi na konferencję, w której powie, co zamierza robić w dziedzinie reportażu, feljetonów aktualnych, transmisyj i t. d.

Czekamy.

*MELCHIOR WAŃKOWICZ*

# ALFRED WIERUSZ KOWALSKI W ZACHĘCIE

Malarstwo polskie nietylko epok dawniejszych, ale nawet drugiej połowy ubiegłego stulecia jest zaledwie częściowo opracowane. Dla nakreślenia sylwetki powszechnie nawet znanych artystów sięgać trzeba do rozproszonych po czasopismach, dorywczo podawanych o nich notatek lub kilkowierszowych zaledwie wzmianek w wydawnictwach zbiorowych.

Przy takim stanie badań podwójnie ważną rolę odgrywają wystawy retrospektywne.

Po dziełach Witolda Pruszkowskiego pokazano obecnie w Zachęcie z racji dwudziestolecia śmierci szereg obrazów Wierusza Kowalskiego. Wystawa ta, chociaż zamknięta w niewielkich ramach, w stosunku do bardzo obfitej spuścizny artysty, pozwala jednak zorjentować się w linji rozwoju twórczości artysty i w jej zasadniczych źródłach. Alfred Wierusz Kowalski, urodzony w 1849 roku w Suwałkach, po ukończeniu gimnazjum w Kaliszu udaje się do szkoły rysunkowej w Warszawie i pobiera w niej nauki pod kierownictwem Hadziewicza, cenionego wówczas na gruncie stolicy pedagoga, malarza setek obrazów religijnych, oraz nauczyciela rysunków Kamińskiego, przepojonego duchem sztuki rzymskiej; poczem w dwa lata później wyjeżdża do Drezna, aby następnie osiedlić się w Monachjum i tamże w 1916 zakończyć życie.

W Atenach nadizerskich na kształtowanie się jego talentu nietylko wpłynęły panujące w akademji tendencje rodzajowo realistyczne, ale przedewszystkiem przyjazne stosunki z Brandtem, który prowadził w tem mieście rodzaj nieurzędowej szkoły, skupiając w niej Polaków, z wielkim darem pedagogicznym służąc im swą radą oraz zaznajamiając ich ze sztuką niemiecką.

Następuje tu zetknięcie się młodego artysty z pewnego rodzaju już naturalizmem, wyrastającym na schyłku romantyzmu, z unikaniem patosu, zastąpieniem go dążeniem do prawdy, do anegdoty wprawdzie, ale pojętej rodzajowo — artysta uczy się przypatrywać naturze.

W następstwie tego porzuca więc Wierusz Kowalski akademickie sceny historyczne, któremi się dawniej zajmował, i zaczyna malować na tle polskiego krajobrazu dramatyczne nastroje śnieżnej zimy z napadami wilków, rozmaite wypadki w podróży, pochody i sceny rozgrywające się w miasteczkach, powroty z zabaw, jarmarków, wesel i t. p.

Obserwując dobrze konia w ruchu i pędzie, jest on kontynuatorem nurtu polskiej sztuki, przewijającego się w malarstwie Orłowskiego, Michałowskiego, a następnie Juljusza Kossaka.

Krzyżujące się różne wpływy, które współdziałały w wytwarzaniu się indywidualności artystycznej Kowalskiego, znajdują dobrą ilustrację w obrazach wystawionych w Zachęcie.

Są więc wśród nich takie, które żywo przypominają Chełmońskiego (sceny polowań, szare krajobrazy), Brandta (sceny utarczek), a pozatem Kossaka czy Gierymskiego.

Obok sławnych wilków samotnych i atakujących sanie, pełne uroku przygody dyliżansu, gdzie artysta z rodzajowem zacięciem maluje damy w powłóczystych sukniach pod parasolkami i t. p. motywy. Obrazy Kowalskiego niedatowane, z wyjątkiem kilku pochodzących z pierwszych lat pobytu w Monachjum, utrudniają określenie, kiedy to do znanych już nut w jego twórczości poczynają się wplatać nowe — odbiciem będące nieśmiałem impresjonizmu. Lękliwie najpierw jeszcze pokazany promień słońca wśród drzew *(Liścik)* zalśni złotem w wesołej *Jeździe* i *W parku*. O przejaśnieniu palety artysty, wyswobodzeniu się z brunatnego sosu świadczy doskonały obraz *Krowy*, potraktowany z właściwym polskiemu impresjonizmowi realizmem plenerowym. Cieszący się wielkiem uznaniem za granicą, sprzedający swe obrazy do pierwszorzędnych zbiorów europejskich i amerykańskich artysta, wyróżniany wieloma odznaczeniami i godnościami (honorowy profesor Akademji monachijskiej) czeka Wierusz Kowalski, jak wielu innych polskich malarzy, na swą monografję.



M. HOSSZU Adm. Horthy

W dolnej sali Zachęty po pięknych medalach belgijskich wystawiono szereg portretów osób ze świata dyplomatycznego cenionego malarza węgierskiego Marcina Hosszu. Do najlepszych należy portret regenta węgierskiego adm. Horthyego.

*J. PUCIATA-PAWŁOWSKA*

# T E A T R

TEATR NOWY: *Maszyna piekielna*, sztuka w 4 aktach JEANA COCTEAU, przełożył J. E. Skiwski.

P. Skiwski nietylko świetnie p r z e t ł u m a c z y ł sztukę Cocteau—sądzę o tem jednak, nie znając oryginału,—ale ją także świetnie w y t ł u m a c z y ł, mianowicie w programie teatralnym, w osobnym artykule. Dał mi swoje okulary, czy pryzmaty, zakręcił mi w głowie. Że *Maszyna piekielna* pokazuje interwencję Szatana! Jako były dekadent kocham Szatana, lubię kiedy się o nim mówi. Bardzo bolałem nad tem, że Aleksander Wat w swoim *Bezrobotnym Lucyferze* odbronzował Szatana, skompromitował go na amen. Czyżby Cocteau zamierzał zrehabilitować zdegradowanego niesłusznie władcę piekieł? „Istnieją bogowie, a bogowie to djabeł"—takie jest motto sztuki Cocteau według relacji Skiwskiego. Ale motto niekoniecznie musi być ideą, może to być tylko takie sobie marzenie, taki rozpędzik, prywatna notatka, potrzebna autorowi do czegoś, do rozmowy z samym sobą, ale notatka, która go nie obowiązuje.

Niegdyś zachwycałem się tragedją Grabbego *Książę Teodor Gothland*, w której bohater, po byronowsku, prawi niebu najgorsze impertynencje, z Boga robi szatana i mówi o „wszechmocnej złośliwości" jako sensie świata. A skądże to? Tylko stąd, że bohater zabił kogoś przez pomyłkę, wskutek fałszywej denuncjacji. Ale—pomyłka! Może pomyłka jest przewidzianym zgóry wynikiem pewnego mechanizmu.

W tragedji Edypa, którą opracował Cocteau w swej sztuce, jest tyle pomyłek i zasadzek Losu, że irytuje ona w wersji Sofoklesowej. Trudno się wżyć nowoczesnemu człowiekowi w jej dawne przesłanki filozoficzne. Filolodzy pouczają nas o Ananke, piszą dużo o różnicy między odczuwaniem naszem a odczuwaniem antycznem tragizmu; był to temat prawie szkolny: Sofokles—Szekspir—nowoczesność. Prawda jest, że starożytni zamyślali się nad metafizycznym mechanizmem świata tak intensywnie, jak my dziś nad jego sekretami socjalnemi. Ale czysty fatalizm był ich główną postawą, i nawet bunt prometejski był tylko walką z bogami, nie z fatum.

Więc reforma mitu o Edypie w duchu nowoczesnym była może na czasie. Ale zdaje mi się, że się nie udała, przynajmniej nie wypadła przekonywająco. Za główną „zasługę" poczytać autorowi można to, że połączył ściśle i organicznie sprawę kazirodztwa edypowego ze sprawą Sfinksa. Ale jak autor to połączenie wykonał? Tak, że pomniejszył i Edypa i Sfinksa; ze Sfinksa zrobił—całkiem po francusku—zazdrosną kobitkę, z Edypa—kłamcę i karjerowicza. Wiem, wiem—można się zachwycać tem, że Edyp jest człowiekiem, że go autor uczłowieczył, ale—myślę, że Wyspiańskiemuby się to nie podobało.

Gdy Hofmannsthal przerobił Sofoklesową *Elektrę*, dał jej uczucia ludzkie, ale nie odebrał jej wymiarów bohaterskich. Cocteau dopiero w ostatnim akcie przywraca Edypowi jego godność tragiczną.

Z okazji tej sztuki krytycy znowu wpadają w stary szablon: mówią o uroku, czarze, *charme* u Cocteau. Ale gdyby to była sztuka niemiecka, pisaliby o zakalcu. Ja tych zalet (?) w *Maszynie* nie widzę; wydaje mi się ona dziwaczna, nieprzejrzysta, ciężka,—mógłby ją napisać Niemiec. W moich oczach to nie jest zarzut; Heine, pisząc o Wiktorze Hugo, mówił, że jest on bliższy Grabbemu niż typowym pisarzom francuskim.

Ponieważ już wspomniałem o paru romantykach, więc dodam, że sztuka Cocteau jako kombinacja różnych elementów: groteski, filozofji, patosu, filologji, parodji, przypomina niektórych romantyków, z ich sławną „ironją romantyczną" (Tiecka, Grabbego). Ale założenia u Cocteau były może inne; nie romantyzm lecz dadaizm; nie kombinacja lecz „montaż",—ostatecznie: jakaś igraszka poetycka na wielką skalę.

Są tu różne wspaniałe pomysły, jakich nigdy nie ujrzycie w dzisiejszych sztukach, pełnych obrzydłej prozy „życia". Np. w akcie I duch Lajosa przemawia ze szczeliny ostrzegająco, ale nie słyszy go ani żona ani przyjaciel, rozmawiają z sobą o czem innem, i jego daremne wysiłki trwają póty, póki go nie uniosą moce piekieł, którym się na chwilę wyrwał. Tragedja niejednego publicysty! W akcie III obok łoża ślubnego Jokasty i Edypa—kołyska pamiątkowa, w której niegdyś leżał mały Edyp. Jokasta przez sen, leżąc u boku swego młodego małżonka, jednocześnie z nałogu kołysze kołyskę. A to jest matka, która przecież zabiła syna, i byłaby dziś karana tak jak pierwsza lepsza służąca, która swe dziecko topi w kanale. Obraz kołyski i tych dwojga—to jest coś przejmującego, co działa przez cały akt. Natomiast dosyć monotonne są strachy, które w tym akcie wyczynia Sfinks-Anubis, posiłkowany potem przez Terezjasza. Czego zanadto, tego zawiele—i to chyba nie jest francuskie. Zaś frendyzm tego aktu, nad którym rozczulają się niektórzy recenzenci, to wstawka niemiecko-żydowska, bardzo aktualna lecz bardzo kabaretowa. W czasie antraktów uprasza się rozmawiać o kompleksie Edypa, według Stekla, strona ta a ta. A przecież owe pociągi i bez freudyzmu dobrze wytłumaczyć się dadzą. Najciekawsza i najlepsza w tym akcie jest inna rzecz: że i Jokasta i Edyp są wciąż jakby na krawędzi jakiejś wiedzy o sobie, jakiejś przezroczystości. Przeczuwają, że chcą czegoś niedobrego, i to przeczucie razem ze zlekceważeniem go, nadaje ich nocy poślubnej znamię zbrodni, prawie że świadomej. Gdyby był jeszcze autor ich wzajemny pociąg fizyczny do siebie lepiej uwydatnił, gdyby jeszcze był położył większy nacisk na ich wzrastającą przekorę wobec przeszkód Losu, gdyby strachowi, przestrogom i przeczuciom nadał wartość także stimulansów miłości,—osiągnąłby większy efekt. A tak—zgromadził paliwo i nie umiał go rozpalić. Strona erotyczna wypadła chłodno i, jak na nasze czasy, dziwnie „niefachowo".

Co do gry aktorów, zaznaczyć głównie należy wybitny sukces p. Wyrzykowskiego w roli Edypa, zwłaszcza w akcie II (młody blagier) i III-cim (nerwowy chłopczyna), lecz nie w IV, gdzie zabrakło mu dobrego patosu. Obsadzenie roli Sfinksa przez p. Lubieńską i Jokasty przez p. Broniszównę wynikło widocznie z chęci przeciwstawienia tych obu typów fizycznych, aby w ten sposób uzasadnić zazdrość Sfinksa. Gdyby nie ten wzgląd, wolałbym w roli Sfinksa właśnie p. Broniszównę. Liryczny Sfinks p. Lubieńskiej nie mógł się jakoś przerzucić w demoniczność, choć się wydrapał na postument. Reżyserja Schillera? Czy ja wiem? Przecież wszystko było dobrze. Oglądaliśmy znowu jego umiłowane dwa poziomy,—wskutek których jednak trochę ciasno robiło się na scenie.

*KAROL IRZYKOWSKI*

TEATR KAMERALNY: *Nora*, sztuka w 3 aktach HENRYKA IBSENA, reżyserja Karola Adwentowicza.

Wznowienie *Nory*, chociaż nie podyktowane względami czysto rzeczowemi, należy Teatrowi Kameralnemu poczytać za zasługę. Mimo niezmiernie słabego odtworzenia lub może dzięki niemu sprawdziła się jeszcze raz niezwietrzała moc tej sztuki. Na świadectwo jej dawnej sugestywności dość przywołać wspomnienia Sieroszewskiego. Pewna Japonka, zamężna zresztą za Polakiem, opowiadała mi, że gdy w jej ojczyźnie wystawiono *Norę* po raz pierwszy, zażegła się od tego poprostu epidemja rozwodów.

Dziś nie należy się spodziewać takiego skutku, ale siła sugestywna utworu, choć odmieniona, jest ciągle żywa. Wogóle wartoby kiedyś obszernie rozważyć zagadnienie—aktualności Ibsena. Prze-



Irena Grywińska w roli Nory

cież Ibsen tkwi u podłoża twórczości Shawa, jak to zaświadcza jego książka *The Quintessence of Ibsenism*. Przecież dałaby się udowodnić zupełnie niespodziana zbieżność między Ibsenem a Gidem, pisarzem jednym z najbardziej reprezentatywnych dla obecnej chwili, pisarzem, u którego proces artystyczny utożsamia się z procesem moralnym, którego cała twórczość jest walką z demonem kłamstwa, patetyczną anabazą moralną.

Dzisiejsza epoka, szarpiąca się w krańcowych przeciwieństwach proletaryzacji i elitaryzmu, zasady kolektywnej i indywidualistycznej w budowie świata, dogorywającego liberalnego poglądu na świat i prób socjalizacji, etatyzacji życia—winna nawrócić do tego oschłego, a tak w głębi udręczonego genjusza. Może w nim upatrywać swoją prefigurację. Szukać uświadomień. Wiele zagadnień społecznych, moralnych, psychologicznych, dręczących nasz czas, Ibsen stawiał z całą odwagą i nieprzejednaniem.

Jeśliby próba Teatru Kameralnego stała się pobudzeniem do bardziej systematycznego i celowego nawrotu ku ibsenizmowi, możnaby jej wybaczyć znaczne niedostatki reżyserji i interpretacji aktorskiej. Dziwić się należy, że Adwentowicz, jeden z najwybitniejszych ibsenistów w teatrze polskim, tak niewiele zrobił w zakresie przepracowania tekstu, nawet go nie zrewidował pod względem językowym; któż dziś na codzień mówi: „wszak" i „ukochałem cię"? Z obsady, w której były pozycje zupełnie skandaliczne, jedna Grywińska wykazała pewne wniknięcie w istotę kreacji Ibsena, jego problematyki i psychologji. Jest to tem cenniejsze, że Ibsen leży raczej poza zakresem jej niewątpliwych możliwości.

Tylko ta rola i doskonale skomponowana dekoracja Lorentowicz-Karwowskiej rozpraszały iluzję widowiska prowincjonalnego.

TEATR „COMOEDIA": *Kordjan i cham*, 13 scen dramatycznych LEONA KRUCZKOWSKIEGO, inscenizacja Eugenjusza Poredy.

Za wzorem zagranicznych sukcesów wydawniczych, także Kruczkowski przystosował na scenę swoją powieść, rewidującą ze stanowiska klasowego tragiczne perypetje polskiego listopada. To przeniesienie dzieła z jednej instrumentacji na drugą, zupełnie różną, dokonało się nagół szczęśliwie. Wysoki potencjał napięcia dramatycznego, poczucie konfliktu, ugruntowane na klasowości—w transpozycji dramatycznej wystąpiło silnie, jakby obnażyło się z pod nawierzchni stylistycznej. Osobiście wolę słuchać *Kordjana i chama* ze sceny, niż czytać, bo wersja dramatyczna oszczędza mi całej post-żeromszczyzny stylu, drażniącej, chwilami nieznośnej. Historja Kaźmierza Deczyńskiego występuje tu w całej ostrości i nagości, w całym nieliterackim patosie prawdy. Choć z drugiej strony zaznacza się też brak dramatycznego ośrodka konstrukcyjnego, kronikarskość budowy.

W inscenizacji narzucał się raczej styl realistyczny, równie rewizjonistycznie nastawiony wobec konwencji teatru historycznego, jak sam utwór wobec tematu. Poreda, inscenizator tej wielkiej, wieloodsłonowej, wieloosobowej machiny, z przymusu okoliczności zewnętrznych i materjalnych musiał się zadowolić dekoracją abstrakcyjną, uproszczoną, schematyczną. „Practicable" obracalny z podestami, schodami, bryłami technicznie ułatwiał tu pracę, umożliwiał względnie szybkie następstwo scen. Akcenty symboliczne, niekiedy dobrze pomyślane (altana), efekty świetlne w tej samej funkcji stosowane, ilustracja muzyczna (H. Gadomskiego) wyposażyły to dość oschłe tło w grę kontrastów nastrojowych, w mocne uczuciowe dominanty. Poreda, idący dość wyraźnie po linji Schillera, wykazał, że umie komponować obraz sceniczny, ożywiać, kształtować sytuacyjnie bieg akcji. Ma to tu z uwagi na dużą zawartość treści ideowej szczególne znaczenie. Sceny zbiorowe (u Mochnackiego, u Lelewela) dobrze przekładały ruch myślowy, zawartość polemiczną na wartości motoryczne i wizualne.

W wykonaniu aktorskiem, aczkolwiek nie zupełnie wyrównanem, zaznaczał się wyraźny wysiłek zespołowy, zdobyto się na kilka kreacyj zupełnie nieprzeciętnych. Deczyński Żukowskiego był bardzo skupiony, konsekwentny w wyrazie chłopskiej pokory, przez którą przebija się bunt. Świetną, godną każdego teatru rolę dał Tomaszewski, aktor zasługujący na baczniejszą uwagę: pełen pasji, o doskonałej masce, sugestywnym głosie. Poreda stworzył dwie różne postaci (Derkacz, Mochnacki) bardzo wyraziste, pełne umiaru i siły.

Ten odważny, samodzielny, ożywiony szlachetnym entuzjazmem teatr—naprawdę Teatr młodych zasługuje na zainteresowanie i poparcie w swoim wysiłku.

TEATR AKTORA: *Plac Paryski 13*, komedja w 3 aktach VICKI BAUM, reżyserja Karola Bendy.

Znaliśmy Vicki Baum z kilku powieści sensacyjnych o pewnym poziomie, jedną z nich: *Ludzie w hotelu* widzieliśmy w przeróbce scenicznej i filmowej. Sztuka ostatnio pokazana znaczy niewiarygodną degrengoladę pisarską. Jest to zupełnie autentyczna, niewątpliwa „brechta". Baum, konkwistadorka literacka, eksploatuje tu nowy teren: *Salon de beauté*. Nieistotność odkrycia jest jeszcze podwyższona przez prymitywizm ujęcia. Dyrektorka Instytutu, która dla reklamy dodaje sobie pewną okrągłą ilość lat, gada niesamowite brednie na temat pielęgnowania urody, dwie baby kłócą się o głupiego gigoloka, reszta poddaje się chińskim torturom: to jest inwencja tematyczna. Konstrukcja jest tak niezwykła, że po premjerze można było skreślić jeden z 4-ch obrazów i to obraz w garsonjerze męskiej, bez szkody dla sztuki, a ku pożytkowi widza. Szkoda, że kierownictwu brakło odwagi do skreślenia trzech dalszych obrazów i przed premjerą.

Przedstawienie nie ma też żadnych istotniejszych walorów inscenizacyjnych, ani odtwórczych: dobre są w swym rzeczowym smaku dekoracje Jaworskiego w I akcie, dobra jedna rola Daniłowicza, który tę bujdę potraktował z należytym dystansem i humorem.

Całą rzecz musi się uznać za znak zniecierpliwienia lub pomyłkę repertuarową Jaracza. Wierzmy, że wraz z powrotem jego nazwiska na afisz, do Teatru Aktora wróci sztuka godniejsza znakomitego aktora.

*TYMON TERLECKI*

# Książki dla młodzieży

HALINA AUDERSKA. *Poczwarki Wielkiej Parady*. Pamiętnik maturzystki. Warszawa 1935. D. K. P.

Nietylko napozór, ale i naprawdę utwór Auderskiej zaliczyć można do literatury dla dorastającej młodzieży. Tej kwalifikacji nie traktujemy jednak z dobroduszną poufałością, maskującą obojętność dla tego rodzaju lektury. Rzecz bowiem jest interesująca i dla „dorosłej" publiczności jako ciekawy dokument psychospołeczny. Życie dziewcząt, kończących gimnazjum poczwarek, które mają wkroczyć w świat, przedstawiła Auderska inaczej, niżby się można było spodziewać. W epoce gruntownego przeobrażania się pojęć i obyczaju, głosów na trwogę sędziego Lindseya, ale i wychowawców z pod znaku „Rycerza Niepokalanej", komunizmu i wychowania państwowego — gromadka „poczwarek" żyje sobie w murach swej szkoły, zaabsorbowana swemi pensjonarskiemi figlami, pracą i troskami. Żyją w świecie nowoczesnym i... są nowoczesne, ale bez snobistycznego akcentu, naturalnie, jakoś „samo przez się". To, co starsze społeczeństwo wzrusza, podnieca, dopinguje, owa różnica między „dziś" i „wczoraj", młodzież dzisiejsza, nasiąkając tem od dzieciństwa, wdycha niewidocznie tak, jak wdycha się powietrze.

Auderska, czy to dzięki beznamiętnej obserwacji, czy opierając się na jakimś materjale autobiograficznym, odkryła prawdę przeciętności, jakąś *aurea mediocritas* dynamiki życia młodzieży, prawdę niezauważoną i dlatego tak uderzającą, gdy się na nią palcem pokazało.

Pod względem artystycznym utwór Auderskiej nie wzbudza żywszego zainteresowania, jest przeciętnie poprawny.

ZOFJA ŻURAKOWSKA. *Jutro niedziela*. Opowiadania. Warszawa—Kraków 1935. Wyd. J. Mortkowicza.

Zmarła niedawno autorka należy do najwybitniejszych pisarek polskich dla dzieci i młodzieży. Teoretyczne określenie różnicy tego działu twórczości literackiej od działu dla „dorosłych" jest bardzo skomplikowane i trudne. W bezpośredniem jednak podejściu, przy praktycznej, doraźnej klasyfikacji, nawet mało wyrobiony czytelnik chwyta tę nikłą linję demarkacyjną. Twórczość literacka dla dzieci i młodzieży stanowi niewątpliwie gałąź odrębną, autonomiczną. Dotychczas krzewi się jeszcze gruby przesąd, że jest to dział łatwy, że każda ciocia lub wujaszek, czujący „wolę bożą do pióra, mogą produkować z pożytkiem bajeczki i pocieszające powiastki dla dzieci. Naprawdę sytuacja przedstawia się całkiem przeciwnie, jest to bodaj najtrudniejszy dział twórczości literackiej, wymagający specjalnego rodzaju talentu, pojawiającego się bardzo rzadko. Żurakowska taki talent posiadała. Dwa opowiadania: *Jutro niedziela* i *Chłopcy na strychu*, potwierdzają w pełni ten talent. Żurakowska potrafi oklepany motyw literatury dziecięcej odświeżyć, ożywić, uczynić niezwykłym, wlać w przebieg zdarzeń głęboką treść psychologiczną i moralną. Tak jest w opowiadaniu pierwszem. W pewnej klasie szkoły powszechnej zginęła skarbonka z pieniędzmi, zbieranemi na pewien cel. Kradzież? Okazuje się, że nie, mimo wszystkich pozorów. W opisie niezwykłych perypetyj, jakim podlegała klasa przez tydzień, dała Żurakowska doskonałe sylwetki dzieci, ich charaktery i instynkty społeczne. Żurakowska nie „zniża" się do poziomu swoich bohaterów, nie podkreśla dystansu obserwacyjnego. Odsłania życie, które jest takiem samem życiem na wszystkich szczeblach dojrzałości. W problematach moralnych i społecznych, poruszających tę gromadkę dzieci, w ich bólach i radościach „wyżywa" się i sama autorka, wskutek czego opowiadanie, spełniając podstawowy postulat literatury dla dzieci, posiada w wysokim stopniu wartość wychowawczą, pozbawioną jednak drażniącego akcentu moralizatorskiego pouczania. Opowiadanie drugie — *Chłopcy na strychu* — może się wydać sztuczne co do fabuły. Trzej chłopcy, bracia rodzeni, umieszczeni przez ojca, który musiał na czas dłuższy wyjechać do Niemiec, na stancji u pewnej wdowy, nie mając zaufania do jej „macierzyńskiej opieki", opuszczają potajemnie mieszkanie, a z braku pieniędzy instalują się na strychu opuszczonego składu na krańcu miasta. Figiel, traktowany zresztą przez chłopców z całkowitą powagą i szczerością, udaje się. Nikt nie oponuje: ani wdowa, ani dyrekcja szkoły, ani zawiadomiony o wszystkiem przez chłopców ojciec. Ale stanowi to tryumf talentu autorki, która konwencjonalizmowi sztuki (wykryć go można w najbardziej „naturalistycznych" utworach) umie nadać tchnienie prawdy żywej.

Opowiadanie jest humoreską. Humor najprzedniejszego gatunku, nie sentymentalny śmiech przez łzy, ale taki, jak definjował Prus. W obserwacji swej umie skojarzyć Żurakowska motywy „namacalnej" rzeczywistości, fizycznej i psychologicznej, z ocieniającemi konturami fantazji, zespolić się z materjałem emocjonalnie i utrzymać zarazem dystans epicki. Głębokiego humoru w naszej literaturze nie mamy za dużo, a już w literaturze dla dzieci sprowadza się on najczęściej do tego, co „śmieszne", do nadużywania taniego komizmu sytuacyjnego. Tem cenniejsze staje się opowiadanie Żurakowskiej, która łączy w swej indywidualności twórczej szlachetny, głęboki charakter, wybitne zdolności pedagogiczne i subtelny talent artystyczny.

JERZY KORNACKI. *Oczy i ręce*. Przymierze z książką. Bibljoteka Młodzieży pod redakcją D-ra Jana Muszkowskiego. Warszawa 1934. Bracia Drapczyńscy.

KAZIMIERZ KONARSKI: *Przyjaciele*. Warszawa 1934. Tamże.

W beletrystyce, pojmowanej jaknajszerzej, wydawnictwa dla młodzieży stanowią, biorąc ilościowo, bardzo poważną pozycję. Przeciętnie 300 tomów pojawia się rocznie, co stanowi trzecią bez mała część produkcji wydawniczej z zakresu „literatury pięknej". Cyfra ta w roku ubiegłym powiększyła się wobec wprowadzenia w życie nowego programu w szkołach powszechnych i gimnazjach, programu, który bardzo dobitnie podkreśla wychowawcze znaczenie lektury domowej ucznia, a w podchodzeniu do zagadnień i zjawisk naukowych poprzez żywe literackie ujęcie tematu widzi jedną z podstawowych zasad nauczania. Wzmogło to potrzebę wzrostu beletrystyki stosowanej, czego widocznym wyrazem, obok wydawnictw pojedyńczych, szereg bibljotek i bibljoteczek, opartych nieraz na zasadzie prenumeraty i rzucających na rynek po parę tomów miesięcznie. Byłoby rzeczą ciekawą i pożyteczną zbadać dokładniej tę obfitą i różnorodną produkcję, przeoczaną, a stanowiącą przecież nietylko pod względem materjalnym ale i artystyczno-kulturalnym tak znaczną część naszej „gospodarki" literackiej. Ostatnio, przed paru miesiącami, pojawiło się wydawnictwo nowe: *Przymierze z książką*, bibljoteka dla młodzieży pod redakcją jednego z najwybitniejszych u nas znawców książki, dra Jana Muszkowskiego. Mamy przed sobą dwa utwory z tej bibljoteki. *Oczy i ręce* Kornackiego wprowadzają nas w środowisko rzemieślników warszawskich, do pracowni krawieckiej, gdzie terminuje młodociany bohater utworu, Szczepan. Autor należy do literackiego zespołu „Przedmieście", które postawiło sobie za zadanie odtwarzanie życia proletarjackiego drogą drobiazgowej i bezpośredniej obserwacji, kierując się przytem poczuciem „psychicznej" przynależności do tej klasy społecznej. Odrzucają wszelki stosunek, oparty na filantropji, choćby tylko współczucia i sentymentu. Realizacja utworu nie zaprzeczyła tezie. Kornacki daje bardzo wnikliwy i rzeczowy obraz prac, zabiegów, nawyków i obyczajów, swoistej filozofji życia i etyki tego szarego świata. Główną uwagę skupia jednak na terminującym chłopcu; odsłania jego przeżycia codzienne, kształtujące osobowość. Pod względem artystycznym jest to rzecz udana, posiadająca dyskretny, rzeczywisty ton oryginalności. Jako lektura dla dzieci nasuwa jednak pewne zastrzeżenia. Utwór jest niesłychanie smutny. Choć autor powstrzymuje się od jakiejkolwiek ingerencji uczuciowej w tok zdarzeń i opisów, zgromadzone tu krople codziennej szarzyzny, oswojonej z czającą się nędzą, wywołują wrażenie ponure. Czy warto karmić dzieci, bez względu z jakiego pochodziłyby środowiska, taką strawą? Czy nie lepiej dać im dużo słońca i radości, a jeżeli już trzeba zaprawiać je do bólów życia, czy nie lepiej podsuwać odpowiednie dla nich obrazy tragicznych konfliktów, wzmacniających siły duszy, niż wsączać w nie beznadziejny smutek?

Inny „ton" posiada dwutomowa powieść Konarskiego — *Przyjaciele*. Treść obejmuje wojenne lata 1918 — 1921 i dotyczy przygód żołnierskich dwóch przyjaciół: szesnastoletniego Andrzeja Wiśniewicza, inteligenta, i podlaskiego parobka, Jaśka Kubiaka. Opowiadanie toczy się żywo i gładko. Przygody bohaterów ciekawe, prawie sensacyjne, tendencja wychowawcza wyraźna, szlachetna i szlachetnie podana — miłość ojczyzny, poświęcenie się dla niej, czynna miłość człowieka i realizacja jej w przyjaźni. Mimo tych zalet utwór nie osiąga zadowalającego poziomu artystycznego. Autor nie potrafił urobić kronikarskiego materjału zdarzeń rzeczywistych na sceny i obrazy, surowej fabuły nie przetopił na akcję, któraby swą nicią powiązała te obrazy i sceny w skomponowaną całość. Jednak powieść Konarskiego znajdzie, zdaje się, żywszy oddźwięk w sercach młodych czytelników niż *Oczy i ręce* Kornackiego.

*ST. FURMANIK*

*

HALINA GÓRSKA: *Druga brama*. Warszawa 1935. Tow. Wyd. „Rój".

Nowa powieść autorki *Nad Czarną Wodą* należy do typu takich książek dla młodzieży, które zrozumieć i docenić potrafi właściwie dopiero człowiek dorosły. Młodzi czytelnicy wyłowią z niej nieskomplikowaną fabułę—dzieje małej dziewczynki z dużej kamienicy warszawskiej, dorosły—interesująco i ładnie postawiony problem. Zagadnienie dotyczy ścierania się dwu różnych rzeczywistości, w jakich żyje dziecko proletarjackie i inteligenckie, ścierania bolesnego dla obu stron, ale nieuniknionego, bo spotęgowanego jeszcze przez ich różnice indywidualne.

Krysia, zamożna, kochana córka doktora, przechodzi normalnie wszystkie fazy rozwoju psychicznego dziecka: posiada fantastyczny świat elfów pod podłogą, przeżywa egzaltację przyjaźni, rekompensuje sobie niepowodzenia i nieśmiałość marzeniami o bohaterskich czynach. Może pozwolić sobie na pospolity egotyzm dziecka, którego życie nie zmusza do brania ciężaru dorosłości i odpowiedzialności za innych. Rówieśniczka jej, Adela, wnuczka stróża, wcześnie musi przestać być dzieckiem i wcześnie nabiera nieufnego stosunku do życia i ludzi. Ciekawe i subtelnie ujawnione są przez autorkę odmienne reakcje na tę samą sprawę tych dwu dziewczynek, zbliżonych do siebie wzajemną sympatją. Krysia—wrażliwa, o najlepszem sercu, doznaje głębokiego wstrętu na widok nędzy katowanej sieroty, mieszkającej w tej co one kamienicy, ale jej doświadczenie życiowe nie potrafi wynaleźć środków zaradczych. Adela, oschła pozornie, nie przejmująca się nerwowo niczyją krzywdą, bo i sama niejednej doznała, zajmie się skutecznie poprawą losu biedaczki. Ta trzeźwość i praktyczność dziecka proletarjatu znajduje się niejednokrotnie w ostrej kolizji z fantazjowaniem i nieświadomą pozą córki doktora. Kiedy Krysia, pouczona przez przyjaciółkę o przyszłym, sprawiedliwym ustroju świata, wstydzi się, że nie jest proletarjuszką i ma o to pretensję do zapracowanego ojca, kiedy chodzi demonstracyjnie w podartem obuwiu—Adela „wścieka się na widok takiej szopki", zwłaszcza że sama właśnie przeżywa ciężkie prawdziwe kłopoty w związku z chorobą matki i kradzieżą w domu.

A jednak—z dwu dziewczynek—właśnie córce doktora przypadnie w udziale zorganizowanie małego społeczeństwa dzieci z drugiej bramy. Jej dobroć serca i instynkty społeczne pozwolą jej przełamać obojętność małych sąsiadów i założyć wśród nich Ligę przyjaźni. Adela poczuje się wtedy samą i uświadomi sobie boleśnie, że ona w gruncie rzeczy nie potrafi pokochać do głębi sprawy społecznej, bo naprawdę bliskie jej są tylko jednostki—Felek, młody działacz socjalistyczny, który rozpalił w niej entuzjazm dla sprawy proletarjatu, i Krysia, którą odepchnęła sama w chwili żalu i urazy.

W takiej analizie wyraża się dużo umiejętności pogłębiania sprawy społecznej. Dla przedstawienia odmiennej psychiki obu bohaterek posługuje się autorka metodą podwójnych relacyj—każdy moment starcia, każdy etap przyjaźni oświetla z punktu widzenia i jednej i drugiej dziewczynki. Towarzyszy temu ze strony autorki zrozumienie subjektywnej, wewnętrznej racji, tkwiącej w przeżyciach obu bohaterek, a więc i szlachetny objektywizm, który nie pozwala na korzyść doktryny typizować rzeczywistości. Rolę przywódcy przeznacza autorka nie w myśl szablonu klasowego, tak często decydującego we współczesnej literaturze, ale zależnie od przyrodzonych warunków człowieka. W tem widzę bezwarunkowo dodatni moment literacki powieści.

Niejakie zastrzeżenie budzi niedość przestrzegany dystans wobec bohaterek. Autorka traktuje psychikę dziecka w sposób niejednolity. Zwłaszcza dotyczy to postaci Krysi, do której zbliża się raz od zewnątrz, jak człowiek dorosły, kiedyindziej od wewnątrz, przez pryzmat doznań dziecka, a jeszcze w innym wypadku w perspektywie wspomnień osoby dorosłej. Te niewyrównania szkodzą trochę jednolitości utworu, który pozatem zasługuje na zainteresowanie, jako przykład problematyki społecznej w doświadczeniach wieku dziecięcego.

*ZOFJA MIANOWSKA*

# KSIĄŻKI O POLSCE

ALBERT GOTTLIEB: *Polen, Wanderungen eines Europäers.*—Wien 1935. M. Perles. Str. 402.

Nowa mapa Europy, ciekawość polityczna, ułatwienia komunikacyjne, duch turystyki—oto różnorodne czynniki, pobudzające do pisania o krajach i ludziach, o państwach i narodach. Chcemy poznawać, pragniemy rozumieć. Czytujemy chętnie wspomnienia z podróży, reportaże, analizy społeczno-gospodarcze, nawet pamflety. Niektóre z tych dzieł ulegają szybkiemu zapomnieniu, inne, owoce wieloletnich studjów, ostają się długo, aż życie zmieni opisywane warunki. Miała i Polska swych opisywaczy; entuzjastów i oskarżycieli; turystów i badaczy. Przybywa dziś do tej literatury książka dr. W. Gottlieba.

Od pierwszych słów przedmowy zyskuje naszą sympatję; autorem jest Niemiec, który w Polsce odnalazł drugą ojczyznę: jego książka nie jest więc zbiorem wrażeń przygodnego turysty, powstała z przeżyć, nietylko z obserwacyj, rozporządza nietylko informacjami, ale umiłowaniem, nietylko wie, ale i rozumie. Autor zdaje sobie sprawę z tego stosunku do kraju, który opisuje: pragnie—tak mówią słowa przedmowy—opisywać „od wewnątrz", ujawniać duchowy sens całości, a zatem pragnie mówić o krajobrazie, nie o geografji, o żywej tradycji dziejowej, nie o historji, o życiowych tendencjach rozwojowych, nie o statystyce. Ten zamiar udaje się w pełni zrealizować. Książka nie przytłacza chaosem faktów. Przeprowadzono wśród nich bardzo umiejętną selekcję, selekcję taką, że każdy z faktów opisywanych staje się świadectwem, reprezentuje, ujawnia poziom osiągnięć, kierunek rozwoju, styl życia. Tak np. opis krajobrazu polskiego—cała część pierwsza książki—zbudowany jest wokół symbolicznej osi biegu Wisły; część trzecia dzieła, poświęcona kulturze duchowej, ukazuje wiek złoty w postaciach Kochanowskiego i Kopernika; symbolem i miarą umiłowania ludu staje się obraz prac—mało znanego nawet rdzennym Polakom—uniwersytetu w Szycach.

Autor nie kryje swego stosunku do opisywanych zjawisk: gani i chwali, zestawia z zagranicą, ukazuje zamiłowania, podkreśla owocność wysiłków. Oceny te zespalają się między sobą, tworząc—coraz wyraźniejszą pod koniec dzieła—ideologję. Jest ona pewnym sposobem widzenia dzisiejszego chaosu światowego oraz przewidywaniem przyszłości. Polska jest „zacofana" w stosunku do Zachodu w zakresie kultury materjalnej, przemysłu, techniki. Tempo życia jest wolniejsze, natężenie pracy słabsze, racjonalizacja mniejsza. Ale może właśnie to zacofanie jest zwycięstwem? Może przyszłość należeć będzie do tych, co żyją wolniej, nie tracą łączności z przyrodą, czują smak życia? Może Europa, a szczególnie Ameryka, zawraca z tej drogi, która imponuje powierzchownym obserwatorom, ale prowadzi ku przepaści. Jeśli człowiek ma znowu zawładnąć maszyną, jako narzędziem, pracować z miłości, współżyć w swobodzie, zwyciężyć szablon i uciszyć namiętności sztucznie wzbudzone—Polska nie będzie w tych warunkach zacofana. Ta ideologja czyni książkę dr. Gottlieba interesującą przedewszystkiem dla Polaków; nie jest to dzieło tylko na eksport.

*BOGDAN SUCHODOLSKI*

*

DARIO LISCHI (DARIOSKI): *Polonia d'Oggi.* Pisa 1934. Fratelli Nistri Edit.

Ujmująca czytelnika od pierwszych linij do ostatnich słów książki atmosfera sympatji a nierzadko entuzjazmu, z jakim się odnosi autor do Polski, jej mieszkańców, pejzażu, architektury i ustroju, stanowi zasadniczy koloryt *Polski dzisiejszej* p. Dario Lischi.

Sympatję tę podnosi głębokie przekonanie autora, że Polska jest krajem, który od zarania kultury przeciwstawił się reszcie Słowian przejęciem kultury latyńskiej. Kultura ta wywarła wpływ — zdaniem autora — nietylko na specyficzny rozwój polskich zamiłowań w zakresie architektury, malarstwa i piśmiennictwa—ale wytworzyła typ umysłowy, odmienny od typu słowiańskiego.

W swoich wędrówkach po ziemi polskiej — od Katowic po Troki — autor z tryumfalną radością odkrywa kelnerów (b. jeńców wojennych), mówiących po włosku, i starych Karaimów w zapadłej wiosce pod Wilnem, przemawiających doń językiem Cicerona. Tę samą tryumfalną radość znajduje w wędrówkach po historji polskiej, ilekroć natrafia w niej na ślad kultury włoskiej poprzez nazwiska Sforzów, Padovanów i Canalettów.

Przekonanie autora o naszej przynależności do kultury łacińskiej dochodzi czasem do przejaskrawienia, spotykanego często u entuzjastów Romy.

Oto próbka: „...kultura polska, która wytworzyła się naskutek przyjęcia wiary katolickiej i dzięki tej wierze, przeobraziła poniekąd duchowo cały naród, zbliżając go raczej ku Latynom niż ku światu słowiańskiemu. Powiedzieliśmy „Latynom" w prawdziwem i pełnem pojęciu tego wyrazu. L a t y n o m, to znaczy Rzymowi, Rzymowi, to znaczy Włochom" (str. 26).

To już nie entuzjazm sympatyka. To raczej aneksja na rzecz spadkobierców największej potęgi antycznego świata.

Niestety, trudno nam, Polakom, przyznać się bez zastrzeżeń do praw spadkowych tego typu.

Mówię „niestety" — bo możeby inaczej wyglądała nasza historja, gdyby kohorty cezarów nie tylko na wschód, zachód i południe, ale i na północ od *mare nostrum* rozciągnęły były swe władcze a tak zapładniające dla przyszłych kultur zagony wpływów.

Mówię „niestety", bo może przez zbyt długie wieki był nam pokarmem przaśny chleb Ziemowitów, a nie mleko zuchwałej wilczycy, która legendzie Romy zaostrzała zęby i pazury, każąc zdobywać — i zdobyte dzierżyć!

Ale nie gubmy się w pomrokach legend.

Książka p. Dario Lischi, poza specyficznem naświetleniem naszej odrębności kulturalnej w rodzinie słowiańskiej, daje pobieżny obraz tego, czem jest Polska dzisiejsza politycznie, ekonomicznie i ustrojowo.

Z tych dziedzin autor potrafił uwypuklić to, co jest twórcze i męskie, a pominąć rzeczy słabe i nieistotne, lub będące przejściową formą naszych wysiłków.

Zarówno rozwój Gdyni jak i uniezależnienie naszej myśli politycznej stanowią dla autora konsekwentną linję świadomego postępu i zbiorowej woli.

W naświetleniu autora góruje psychika optymisty — ale optymisty „z praktyki" a nie z teoretycznych rozważań. Optymizmu nauczyło go przekonanie, nabyte w własnym kraju, że naród, świadomy swej siły, nie ma granic dla swego rozwoju.

Żałować wypada, że książkę, starannie i pięknym drukiem przez firmę Nistri wydaną, ilustrują nieszczególnie dobrane i słabo wykonane fotografje.

*JAN CHMIELIŃSKI*

# Filmy krótkometrażowe

Zanim dojdą do skutku piękne plany i ziszczą się różowe horoskopy, stawiane polskiemu filmowi w związku z zamierzoną akcją Rządu, skierowaną ku podniesieniu poziomu artystycznego, zanim uczelnie filmowe staną się faktem i od reżysera filmowego wymagać się będzie kultury, znajomości tematu i choćby podstawowej wiedzy o estetyce, zanim zacznie się planowe kształcenie sił twórczych — film polski nadal szkołę swoją przechodzić musi w pracy nad nadprogramami, przy realizacji dodatków krótkometrażowych. Produkcja krótkometrażowa, otoczona w Polsce specjalną opieką ustawodawcy i korzystająca z dość wyjątkowych przywilejów, stanowi, jak dotąd, jedyną szkołę polskich filmowców, jedyny teren pracy dla nowych sił i jedyny teren artystycznego wysiłku, którego niesposób byłoby się dopatrzeć w produkcji dużych filmów rozrywkowych. Jednakże owa wyjątkowa sytuacja krótkiego metrażu nie stwarza bynajmniej okoliczności, umożliwiającej polskiemu filmowi wybrnięcie z marazmu i bezwładu, nie staje się okazją do przełamania wszechwładnych szablonów, a nawet nie sprzyja rozwojowi eksperymentów i nie przyczynia się do ujawnienia nowych talentów. Dlaczego dzieje się tak, łatwo zrozumieć, gdy się rozważy splot warunków, nieszczęśliwie ciążących na rozwoju polskiego filmu krótkometrażowego.

Ustawy przewidują wprawdzie uprzywilejowanie podatkowe dla dodatków filmowych, określonych przez cenzurę jako „kształcący" lub „artystyczny", lecz łatwość uzyskania tych ocen jest tak znaczna, że z zasady ilość filmów, oznaczonych tą stampillą, przewyższa wszelkie inne, a owe niezakwalifikowane przez cenzurę obrazy tracą dzięki tak silnej konkurencji wszelką wartość rynkową. Stwarza się sytuacja paradoksalna — kina grają wyłącznie owe „artystyczne" i „kształcące" filmy, a opinja publiczna narzeka, że dodatki są słabe. Uzyskanie kwalifikacji „kształcący" zależy od opracowania tematu pedagogicznie wartościowego (niestety niekonieczne jest tu, jak wykazują przykłady, dobre opracowanie, czasem wystarcza powaga tematu, aby kwalifikacja była pewna). Co do uzyskania oceny „artystyczny" trudno jest stworzyć uzgodnione i bezsporne kryterja, tak iż udzielanie tej oceny jest dość dowolne. Powstaje tego rodzaju sytuacja, że producent, chcąc z całą pewnością uzyskać jedną z tych ocen (inaczej jego towar staje się bezwartościowym), przygotowuje temat w ten sposób, aby mógł liczyć na ocenę „kształcący". Stąd niezwykła przewaga filmów o pretensjach kulturalnych, krajoznawczych i największa ilość propagandowych, gdyż producent najczęściej kalkuluje na to, że cenzura nie odmówi mu kwalifikacji na film o morzu, kresach, lotnictwie czy na inny temat o znaczeniu państwowem. Tematy tego typu uzyskują cenzurę bardzo łatwo a poziom wykonania takich filmów jest bardzo niski. Oczywiście przedsiębiorca nie chce ryzykować i dlatego niektórzy tylko (mecenasi młodych sił lub entuzjaści) decydują się na realizację tematu, któryby nie był „kształcący" a miał być „artystyczny". „Artystyczność" stała się przeto, jak i w pełnym metrażu — zmorą, której nie lubi i lęka się producent. Z drugiej strony cenzurowanie filmów „artystycznych" jest nierównie trudniejsze niż „kształcących".

Ten rygor cenzuralny sprawia, iż w dziedzinie krótkiego metrażu polskiego tak mało jest prób artystycznych, a tak wiele standardowych obrazków pseudokulturalnych, pseudokrajoznawczych i pseudopropagandowych. Jak widać, okoliczności te niezbyt pomyślnie wpływają na szkolenie nowego pokolenia reżyserów, lecz najistotniejszą jest sprawa zupełnie inna.

Fakt surowego stosunku cenzury do prób „artystycznych" i „rozrywkowych" w dziedzinie krótkiego metrażu sprawia, że publiczność ogląda naogół w polskim nadprogramie utwory nudne i nieciekawe, często powtarzające się w treści i sposobie ujęcia. Ponieważ powyższe wymagania kwalifikacyjne odtrącają z krótkiego metrażu wszelką próbę ściśle rozrywkowej roboty, przeto reżyserowie krótkiego metrażu zaczynają robić filmy raczej dla cenzury niż dla publiczności, a jest bardzo wątpliwe, czy reżyser, który nie potrafi zrobić filmu zajmującego dla publiczności, będzie umiał odrazu stanąć na wyższym poziomie i wykonać dobry film kulturalny lub propagandowy—rzecz o wiele trudniejszą.

Tak więc krótki metraż jest odgrodzony od żywego widza martwą formułką „artystyczny lub kształcący", i, jak dotąd, nie nawiązał kontaktu z publicznością. Nie mogąc wykazać swojej zdolności do tworzenia filmów rozrywkowych, reżyser krótkometrażowy nie jest w stanie konkurować z kolegami z długiego metrażu i jak dotąd, żaden polski dodatek nie wykazał, że mogą istnieć tematy bardziej frapujące dla widza niż hurradramaty i szmoncesy oparte na sensacji.

Jednakże krótki metraż, nawet mimo tych wszystkich trudności, mógłby się stać kuźnią naprawdę zdrowej pracy i twórczości, gdyby nie inny jeszcze — zgoła już prozaiczny moment. Film krótkometrażowy, korzystając ze zniżki w kinach, będąc dla tych kin złem koniecznem, gdyż dającem żywy zarobek, płacony jest przez kina źle, a w każdym razie nie uzyskuje nawet połowy tego, co przynosi kinom dzięki ulgom podatkowym, jakie z tytułu jego wyświetlania otrzymują one od samorządów. Tak więc sumy, uzyskane z eksploatacji polskiego dodatku ledwie gwarantują producentom zwrot kosztów, a już bynajmniej nie obiecują im zysku o ile... To „o ile" stanowi piętę Achillesową krótkiego metrażu. Mówiąc dosadnie — o ile film nie jest zapłaconą reklamą. Tak więc większość krótkometrażowych filmów szuka sobie tematów, któreby ktoś opłacił, czy będzie to instytucja o mniej lub więcej wartościowych hasłach i zadaniach, czy poprostu przedsiębiorstwo, czy nakoniec zbiór firm czy przedsiębiorstw, które z racji doboru tematu i pokazania szyldzików chętnie zapłacą. Tak więc biedny scenarzysta i realizator staje wobec potrójnego niebezpieczeństwa. Przedewszystkiem musi myśleć, żeby film był „kształcący", musi kosztorys filmu zamknąć w ramach tak szczupłych, że o aktorach, o specjalnej muzyce i sztucznem oświetleniu marzyć mu nie wolno, wreszcie musi wziąć pod uwagę wymagania instytucyj i osób, które płacą za reklamę czy propagandę. W tej potrójnej matni powstają złe dodatki. Może nie zawsze tak złe, jak bywało jeszcze rok czy dwa lata temu, w każdym razie praca ta nie dotarła jeszcze do widza, nie wzruszyła senności kulturalnej elity, wciąż jeszcze odżegnywającej się lekceważąco od filmu, i nie stała się szkołą dla polskiego reżysera. Jeśliby nakoniec między widzem kinowym, wychowanym na amerykańskiej tandecie, zdemoralizowanym przez głupotę szablonu, a polskim dodatkiem nawiązała się nić kontaktu, wtedy dopiero możnaby powiedzieć, że krótki metraż staje się w Polsce zarodkiem sztuki filmowej, dotąd nie istniejącej.

*EUGENJUSZ CĘKALSKI*

# Przyszłość słuchowiska radjowego

Wspomniany w poprzednim artykule[1] ślepy film Ruttmana był w dużej mierze doświadczeniem radjowem, wskazywał ciekawą drogę słuchowisku, jako formie odrębnej.

Z doświadczenia tego radjo nie skorzystało, pierwsze trudności techniczne zawróciły reżyserów radjowych z tej drogi. Od tak zwanej „kuchni" akustycznej odwrócono się z pogardą, nie widząc w niej żadnej przyszłości. Zapatrzono się w teatr, przenosząc z niego do radja dialog, który bardzo szybko zajął w studio niepomiernie dużo miejsca. Niesłusznie. Nie w teatrze tylko w kinie należało szukać analogji. Kino jest przecie z radjem mocniej spokrewnione niż jakakolwiek inna Muza! To pokrewieństwo jest podwójne: pokrewieństwo ducha, samej istoty i pokrewieństwo krwi: radjo i kino *muszą* posługiwać się techniką: maszynką, lampką i drucikiem...

Kino rejestruje świat ruszających się świateł i cieni — to było i *jest* nadal jego treścią. Radjo jest takiem samem kinem *dla ucha* i winno ogarnąć *cały* świat dźwięków. Żywe słowo jest dużą częścią tego świata, najważniejszą, ale nie jedyną!

Mówiliśmy o zapatrzeniu się radja w teatr. Podobną chorobę przebyło dawniej kino i recydywy tej choroby ciągle są notowane, zwłaszcza teraz, kiedy ekran może gadać. Choroba ta wywołała przerost roli aktora w filmie. Zgoda na to, że najważniejsza rzecz, jaka nas interesuje w teatrze, kinie, czy radjo — to człowiek i jego sprawy. Ale, podczas gdy w teatrze te sprawy wyrazić może rzeczywiście jedynie żywe słowo i aktor, to kino i radjo *dzięki maszynkom* mają możność wyrażania człowieka *całą masą elementów*, w kinie wizualnych, w radjo słuchowych. W tej masie elementów aktor i żywe słowo zajmują swoje miejsce, ale panować niepodzielnie nie mogą. Rolę aktora w filmie i dialogu w słuchowisku radjowem należy zdegradować, inaczej nigdy nie wyciągniemy z tych puszek Pandory wszystkich wzruszeń, jakie się tam kryją.

Nie należy ograniczać terenu słuchowisk jedynie do sztuk, w których sam dialog posuwa naprzód akcję. Owszem, niech będą i takie słuchowiska. Ale bardzo dobrze wyobrażam sobie inne, w których nie dzieje się nic, niema żadnej literatury, może od czasu do czasu parę słów bardzo nabrzmiałych treścią. Powiem otwarcie, że nawet wolę takie czysto montażowe słuchowiska, bo one właśnie są wyłączną domeną radja i poza niem nie dadzą się stworzyć. Słuchowiska takie w ostatecznej sumie dawałyby nastrój, wiązankę pewnych wrażeń na jakiś temat. Byłyby to takie wiersze, poematy radjowe, w których słowa zastąpione zostaną przez inne elementy głosowe, wybrane z otaczającego nas świata dźwięków, których normalnie dostrzec nie umiemy, bo inne zmysły nam w tem przeszkadzają. Dopiero radjo może je wydobyć, podkreślić, przetworzyć w elementy artystyczne.

W radjo słowo panuje niepodzielnie na całym szeregu odcinków. Renesans słowa, o którym pisał Witold Hulewicz, może się odbywać na każdym z nich: w odczycie, feljetonie, recytacjach. Ale gdzież, jak nie w słuchowiskach, jest miejsce na całą resztę dźwięków, która jest niezmierzona, nieznana, a warta poznania. Mówiono, że kuchnia akustyczna zawiodła. Zawiodła, bo dźwięki fabrykowano na poczekaniu, fałszowano je! Kuchnia akustyczna robiona przed mikrofonem w studjo *równocześnie* z odbiorem audycji przez słuchacza nie mogła dać rezultatów zadowalających. Kuchnię należało zamienić w fabrykę, któraby mogła dźwięki utrwalać, rejestrować, a w ten sposób umożliwić sprawdzenie doświadczeń, selekcję nagromadzonych materjałów.

Możliwości techniczne takiej rejestracji istniały oddawna (płyta gramofonowa), ale radjo nie chciało z nich korzystać. Utworzyły się bowiem dwie błędne zasady w słuchowisku radjowem: pierwsza, wynikająca z zapatrzenia się w teatr, mówiła, że tak jak w teatrze — słuchowisko radjowe musi się dziać równocześnie z odbiorem. Aktorzy muszą być naprawdę w studjo, tak jak są naprawdę w teatrze. Inaczej — twierdzono — słuchacz byłby oszukiwany.

Druga zasada wypłynęła z zapatrzenia się w gazetę. Radjo to gazeta, a zatem zasada niepowtarzalności słuchowisk, kosztowna zasada ciągłych premjer.

Obie zasady są mojem zdaniem błędne. Radjo jest gazetą, ale tylko tam, gdzie pełni służbę informacyjną, kształcącą. Tam musi się ciągle odnawiać, nie może się powtarzać. Inaczej zupełnie sprawa wygląda na odcinku artystycznym, koncertów i słuchowisk. Co do równoczesności, której jakoby wymagał odbiorca, to tutaj też należy pozbyć się przesądów. Równoczesność posiada wielką siłę atrakcyjną, ale tylko w reportażu radjowym, *w dokumencie*. Tam, gdzie słuchacz nie może być naocznym świadkiem zdarzenia, a chce nim być, tam równoczesność winna być zasadą, ale to wcale nie dotyczy słuchowiska.

I znów poszukamy ratunku w kinie. Jedną z cudownych właściwości kina jest wspomniana możność rejestracji otrzymywanych rezultatów. Negatywem posługujemy się jak matrycą. Wszystko może być zanotowane na taśmie, ogromny materjał wizualny i dźwiękowy, a zwykłe nożyce dają możność selekcjonowania tego materjału, wyboru, *montażu*. Jest to wygoda cudowna i teoretycznie winna zawsze prowadzić do tworzenia płodów doskonałych.

Radjo zatem winno było od początku pójść tą samą drogą i tylko wtedy ze słuchowiska moglibyśmy wyeliminować raz na zawsze grę przypadku, wszelkie niefortunne eksperymenty. Radjo wszystko zawdzięcza technice, czemuż nie zużyć techniki w rzeczach najtrudniejszych. Radjo musi tak jak kino: zapisywać, rejestrować, utrwalać — zanim rozpocznie nadawanie na anteny. Tylko wtedy pozostanie ślad pracy, który jest jedyną radością twórcy. Ślad, który umożliwi pracę krytyków, zwiększy odpowiedzialność reżyserów radjowych, skoro wszystko można będzie wyciągnąć z archiwum i jeszcze raz przesłuchać. Nie będą to już słowa rzucane na wiatr, co odstrasza wielu powołanych. W momencie, kiedy radjosłuchacze będą się wzruszać czy bawić słuchowiskiem radjowem — w rozgłośni powinien pracować jakiś aparat, a studjo winno być puste i zamknięte.

„Jakiś aparat", ale jaki? Płyta gramofonowa, czy może still, który nam na Zielnej demonstrują? Ani jedno ani drugie nie może dobrze spełnić roli radjowego papieru. Te rzeczy nie pozwalają na szybki i łatwy montaż, na selekcję, na twórczą robotę nożyc. Tylko celluloidowa taśma filmowa, taka sama jak dla dźwięku w atelier kinowem, spełni należycie pracę, która jest tu potrzebna. Już niektóre radjostacje przechodzą na tę drogę, zarzucając całkowicie inne sposoby. Poszczególne sceny słuchowiska radjowego zapisujemy na taśmie, montujemy je jak trzeba, sklejamy i oto w metalowem pudełku leży ostateczny rezultat, sprawdzony, gdzie przypadek i nieudanie się — są całkowicie wyeliminowane.

Oczywiście, metoda ta wymaga zburzenia zasady niepowtarzalności, o której wspominałem. Słuchowiska można i *należy* powtarzać, tak jak powtarza sztuki teatr a filmy sala kinowa. Wiemy przecież dobrze, że ludzie są zajęci w różnych porach dnia i nocy: dopiero nadając to samo słuchowisko kilka razy, ale w innych godzinach — nadamy je *naprawdę* dla wszystkich.

Jeszcze jedna rzecz: nie należy radja ograniczać tylko do mieszkań. To, że odbiornik mamy w mieszkaniu, jest oczywiście cudowną jego zaletą, ale ciągłe podkreślanie, że studjo rozmawia z *samotnym* słuchaczem, mija się trochę z rzeczywistością. Jakże często słucha się radja zbiorowo i może wtedy słucha się lepiej? Wymienię tylko szkoły, koszary, ogniska i kluby. Ten sposób słuchania należy rozbudować. Należy stworzyć salony radjowe, choćby dla wygody literatów i krytyków, którzy radja w domu nigdy nie słuchają. Otóż i tutaj taśma filmowa wiele ułatwi. Wtedy dla krytyków można urządzać całe porcje słuchowisk, niezależnie od programu, przed premjerą w rozgłośni, lub też na jakieś specjalne żądanie.

Pesymiści twierdzą, że szkoda na to wszystko zachodu, bo wkrótce zastosują w radjo telewizję i słuchowisko radjowe jako odrębna forma przestanie istnieć. Nie podzielam tych obaw. Telewizja wejdzie przedewszystkiem na te tereny, gdzie radjo pełni służbę informacyjną, do reportażu, do radjowej gazety. Telewizja może wprowadzić do mieszkań film, ale ślepa sztuka może się przecie rozwijać dalej. Być głuchym albo niewidomym przez całe życie — to wielkie kalectwo. Nie móc słyszeć, albo oślepnąć na chwilę — to wielka radość dla człowieka i źródło nowych wzruszeń. Od wieków przecie architektura, rzeźba i obraz — zmuszają nas do chwilowego kalectwa, odbierając nam słuch. A teraz radjo może nam podarować drugie: chwilową, radosną ślepotę. Nie marnujmy tych chwil na słuchanie głosów, co łatwo nam wpadają w ucho w życiu codziennem!

*A. BOHDZIEWICZ*

[1] Por. *Pion* Nr. 14 (79) art. *Bilans filmu dźwiękowego.*

# V A R I A

CHAIM LÖW. *Smok w słowiczem gnieździe.* (Żydzi w poezji Odrodzonej Polski). Odbitka z *Miesięcznika Żydowskiego.* Warszawa 1934. Skład główny w Domu Książki Polskiej.

Sporą, pięcioarkuszową, broszurę swą otwiera autor wstępem, charakteryzującym tło społeczno-kulturalne, z którego wyłonił się współudział Żydów we współczesnej polskiej twórczości poetyckiej. Współudział ten jest, jak wiadomo, wybitny. Ponieważ zaś sama twórczość dawała niemało powodów do niezadowolenia sferom zachowawczym, które jej zarzucały wpływ społecznie szkodliwy, przeto odpowiedzialnością zań chętnie obarcza się Żydów.

Zdaniem autora jest to fałszerstwo historyczne, odwracające stosunek przyczyny do skutku. Radykalizm nowej poezji jest zjawiskiem powszechnem, odbiciem kulturalnem wstrząsu duchowego oraz nastrojów rewolucyjnych, które spowodowała wielka wojna. Żydzi szli tylko za prądem czasu, wysuwając się tu i owdzie na czoło mocą uzdolnień indywidualnych. W poezji polskiej twórczość żydowska włącza się niemal bez reszty w odziedziczone lub powstające kierunki: „Każda prawie kapliczka ma swego Żyda"—koryfeusza lub zwykłego chórzystę. Jeśli walczą ze sobą kapliczki, to wespół z niemi walczą przeciwko sobie również uczestniczący w nich Żydzi. Ani śladu osławionej solidarności rasowo-wyznaniowej. Trudno zresztą o nią choćby dlatego, że Żydzi-poeci przeważnie już porzucili wiarę ojców i „całkowicie oddali się w niewolę polskiej kultury, polskiego języka, krótko — polskiego narodu".

Nie wynika stąd zresztą, ażeby w ich utworach brakło zupełnie pierwiastków specyficznie żydowskich. Głębiej z duszą żydowską zrośnięty jest materjalizm, pojęty w sensie braku zainteresowań dla problematów metafizycznych, tem żywszego zaś zrozumienia dla wszelkiej doczesności. W parze z tym materjalizmem chodzi również sentymentalizm. Naogół jednak, o ile utwory żydowskie wyróżniają się pośród polskich, to różnice te są natury częściej rzeczowej niż jakościowej i wypływają nietyle z psychiki odrębnej, ile z niekorzystnie odrębnej pozycji społecznej żydostwa. Skłonność do radykalizmu, nowoczesności i odmiany stąd przeważnie pochodzi.

Odrębną, lecz najmłodszą i jeszcze nieliczną grupę stanowią poeci, którzy, pisząc po polsku, pragną jednak pozostać Żydami w myśl hasła: „zaklinać w polską mowę żydowskie tęsknoty, w dźwięk Czarnoleskiego słowa wtapiać ból serca żydowskiego, sprzymierzać słowo Mickiewicza ze świętem słowem Biblji". Leży to w interesie odrębnej kultury żydowskiej i zasadniczo jest możliwe, bo nieraz już miało miejsce w innych, obcych dla Żydów, językach. Sądzi wszakże p. Ch. Löw, że w Polsce rozwój w tym kierunku jest jeszcze trudny, gdyż żargon, nie zaś język polski, pozostaje dotąd mową potoczną żydowskiej ulicy. Psychika ludowa żydowska nie zrosła się więc jeszcze dostatecznie ze słowem polskiem. To też twórczość poetycka Żydów w Polsce, oderwana w wielkiej mierze od rodzimego podłoża, kojarzy się tem ściślej z kulturą polską.

W przeglądzie tej twórczości p. Ch. Löw na pierwszem miejscu stawia grupę romantyków o rozgłośnych nazwiskach: Juljana Tuwima, Antoniego Słonimskiego, Józefa Wittlina oraz chrześcijańskiego mistyka, Jana Stura. Na drugiem miejscu idą futuryści i poeci proletarjaccy, jak Bruno Jasieński, Anatol Stern, oraz Tadeusz Peiper, czołowy teoretyk poetyckiego formizmu w Polsce. Wśród eklektyków i klasyków zwraca szczególnie uwagę czytelnika ciekawa postać Stefana Napierskiego, którego pochodzenie semickie p. Ch. Löw kwestjonuje, lecz którego najgłębszym duchowym dramatem stała się wiara w ciążącą nad nim nieubłaganą klątwę tego właśnie pochodzenia. Zamykają broszurę rozdziały o poetkach oraz o grupie żydowsko-nacjonalistycznej. Charakterystyki, ilustrowane urywkami wierszy, obejmują całokształt duchowej i artystycznej indywidualności poetów z podkreśleniem pierwiastków żydowskich o tyle, o ile odgrywają one mniejszą lub większą rolę. Wykład jasny, argumentacja przekonywająca, powściągliwa; w formie widoczna i skuteczna staranność o objektywizm sądów.

W zakończeniu podnosi autor, że ilościowy udział Żydów we współczesnej poezji polskiej wynosi w przybliżeniu tyleż, co żydowski odsetek ludności miast w Polsce, czyli 25%. Pod względem jakościowym pozytywny, poetycki wkład żydów w kulturę polską da się wymierzyć dopiero z czasem. W każdym bądź razie prądy radykalne, przypisywane wpływowi Żydów, słabną w miarę jak uspokaja się powszechna reakcja psychiczna doby powojennej. Semicki smok nie spustoszył słowiczego gniazda poezji polskiej. Raczej wniósł tam niejedną cenną perłę.

*Polska i Czechosłowacja.* Gdzie tkwią przyczyny rozdźwięku polsko-czeskosłowackiego. Nakładem Czechosłowackiego Komitetu Polsko-Czechosłowackiego Porozumienia Prasowego.

Broszura zawiera przekład obszernego artykułu, który ukazał się w dzienniku *Narodni Politika* w listopadzie r. ub., po mowie min. Benesza, stwierdzającej stan „wzajemnej rezerwy" pomiędzy Polską a Czechosłowacją. We wstępie zaznaczono, iż praca ta przedstawia ewolucję stosunku obu państw tak jasno, że przyczynić się winna do „gruntowniejszego poznania rzeczywistości i wzajemnego wyjaśnienia". Obok wszakże tego jawnego celu broszura, zdaje się, ma również na widoku wzbogacić arsenał argumentów polskiej prasy opozycyjnej na odcinku czechosłowacko-polskim.

Pomimo zwrotów, markujących pozorny objektywizm, oraz wiernej naogół rekapitulacji faktów z zakresu współżycia międzynarodowego obu państw, oświetlenie tego współżycia wypadło bardzo jednostronnie. Czechosłowacja wybielona w niem została na pokrzywdzonego baranka, Polska zaś wygląda na niewdzięcznicę i krzywdzicielkę. Czechosłowacja gotowa jest jednak zapomnieć i wyciąga rękę do zgody. „Czechosłowacja wyczekuje".

Czytelnika polskiego autor najbardziej razi, gdy zeszłoroczne wybryki szowinistyczne czeskie przeciwko ludności polskiej na czeskim Śląsku przedstawia jako powierzchowne rozdrażnienie z powodu 'polskiej prowokacji przy odsłonięciu pomnika w Cieszynie. Bynajmniej nietylko prorządowa, lecz prawie cała prasa polska trzęsła się przez parę miesięcy od opisów prześladowań Ślązaków. Autora zaś broszury kampanja ta oburza, chociaż w dyskusję rzeczową na ten temat nie wdaje się. Milczenie prasy czeskiej w jego oczach nie zostało wywołane rzeczowem zakłopotaniem, lecz jest objawem pełnego godności taktu, opartego na wskazówkach urzędu spr. zagranicznych. Wogóle ucisk mniejszości polskiej w Czechach ma być tylko „rzekomy", polską zaś złą wolę ma udowadniać odmowa zgody na arbitraż w tej sprawie.

Propozycje polubowne przyszły za późno, gdy już polska polityka zagraniczna weszła na tor, na którym bliższe stosunki z Czechosłowacją mogłyby ją raczej krępować niż być użyteczne. Niezgodna ani z konstytucją czeską ani z przyjaźnią dla Polski dążność do wynaradawiania Polaków, obywateli czeskich, datuje od tak dawna, jak sama odrodzona Czechosłowacja. Ten ważki kamień niezgody w najistotniejszym interesie czeskim należało zdawna usunąć, z własnej, czeskiej inicjatywy. Liczono jednak na długotrwałą bierność międzynarodową Polski, a to się obecnie zmieniło. Niesłusznie też uskarża się autor na słabe zainteresowanie Polski tak ważną dla Czechosłowacji sprawą niepodległości Austrji, bo w okresie najgorętszych awantur „pacyfistycznych" niemieckich o Pomorze Czechosłowacja zachowywała się obojętnie i zabiegała raczej o dobre stosunki z Niemcami. Zasadę solidarności należy stosować nietylko wtedy, kiedy to doraźnie dogadza, lecz także wtedy, gdy to nie dogadza, ale może być pożyteczne dla partnera. Zwłaszcza jeśli partner mniej jest zależny od Czechosłowacji niż odwrotnie.

Broszura zawiera dosyć ciekawe rekapitulacje faktów z zakresu współżycia międzynarodowego Polski i Czechosłowacji, oświetlonych bardzo jednostronnie. Znamienna jest jako objaw chęci wydobycia się z impasu, w który zapędził Czechosłowację krótkowzroczny szowinizm. Ale nie wiele zapewne sprawie czeskiej pomoże. Czesi sami sobie winni. Przeciągnęli strunę.

STANISŁAW STUDENCKI: *O typie psychofizycznym Polaka.* Poznań 1934. Poznańskie Towarzystwo Psychologiczne.

Zatytułowany jak wyżej „przyczynek do charakterystyki typów antropologicznych wśród młodzieży polskiej" p. Stanisława Studenckiego, wydany w broszurze przez Poznańskie Towarzystwo Psychologiczne, podaje w skróceniu wyniki badań, przeprowadzonych przez autora w Zakładzie Psychotechnicznym przy Państwowej Szkole Budownictwa w Warszawie. Materjał obserwacyjny stanowiła grupa 105 młodych ludzi, dobrana pod kątem możliwie największej wyrazistości typów rasowych (nordyczny, sarmacki, presłowiański i t. d.) oraz konstytucjonalnych (atletyczny, krępy, wysoki i t. d.). Autor klasyfikuje typy konstytucjonalne według Kretschmera, rasowe według Czekanowskiego, psychiczne według Rohrschacha. Wychodząc z kretschmerowskiego założenia, że z pewnemi typami budowy ciała wiążą się przyczynowo pewne typy psychiki, idzie p. Studencki dalej i stara się znaleźć odpowiedź na pytanie, czy zachodzi również stały związek pomiędzy budową ciała a rasą, oraz rasą a psychiką. Z podanych w broszurze zestawień i wyliczeń wynika dosyć wyraźnie odpowiedź pozytywna: pewne rodzaje budowy cielesnej, zarówno jak pewne odmiany duchowe, przeważają wśród pewnych ras. Mieszańcy, u których typ konstytucjonalny odchyla się od rasowego, zdają się ujawniać dysharmonję i mniejszą odporność nerwowo-psychiczną. Rasa wykazuje przytem silniejszy związek z rodzajem duchowości niż budowa ciała. P. Studencki podnosi, że wyniki jego badań zgadzają się zarówno z dawniejszemi obserwacjami innych uczonych, jakoteż z panującą opinją o polskim charakterze narodowym i prowincjonalnym. Wyniki te mogłyby się okazać doniosłemi zarówno naukowo, jak życiowo (w sensie rasistowskim), gdyby pole obserwacji było mniej ograniczone. Na podstawie szczupłego materjału 105 osób, jakim autor rozporządzał, mógł wysnuć jedynie wnioski o wartości przyczynkarskiej, co też w podtytule swej pracy stwierdza.

DR. EUGENJUSZ ZDROJEWSKI: *Szkolnictwo polskie w Niemczech.* Warszawa 1934. Instytut Badań Spraw Narodowościowych.

Nakładem Instytutu Badań Spraw Narodowościowych ukazała się praca dr. E. Zdrojewskiego o szkolnictwie polskiem w Niemczech, będąca odbitką z artykułów drukowanych w roczniku 1933 czasopisma Instytutu *Sprawy Narodowościowe.* P. Zdrojewski na 78 stronicach druku omawia podstawy prawne szkolnictwa polskiego w Niemczech, szczegółowo obrazując walkę o nie wyjątkami z memorjałów, przedstawionych władzom szkolnym Rzeszy, oraz udzielonych z ich strony odpowiedzi. Następnie przedstawia akcję organizacyjną polskich związków szkolnych i stan faktyczny wszystkich rodzajów szkolnictwa polskiego w Niemczech, z uwzględnieniem ilości szkół, nauczycieli i dzieci. Praca p. Zdrojewskiego posiada cenną wartość informacyjną w zakresie położenia mniejszości polskiej w państwie Hitlera.

KAZIMIERZ HRABIN: *Narkomanja w szkole.* Warszawa 1934. Pol. Tow. Walki z Alkoholizmem „Trzeźwość".

Polskie Towarzystwo walki z alkoholizmem „Trzeźwość", z zasiłku Ministerstwa Opieki Społecznej wydało referat o alkoholizmie i eteryzmie, wygłoszony na zjeździe delegatów tegoż Towarzystwa przez p. Kazimierza Hrabina. W przedmowie gorąco poleca tę pracę uwadze nauczycielstwa naczelny dyrektor Państwowego Zakładu Higjeny, doc. dr. G. Szulc. Broszura przedstawia w wykresach i komentuje w tekście wymowny materjał statystyczny, zebrany przez autora w okręgu szkolnym Pszczyna I. Alkoholu używa w tej części kraju około 50% dzieci w wieku szkolnym, przyczem dają się ująć liczbowo lepsze postępy w naukach dzieci niepijących niż pijących. Osłodzony roztwór eteru, jako napój wyskokowy, mniej jest rozpowszechniony, chociaż w jednej z gmin okręgu pszczyńskiego jego użycie wśród dzieci szkolnych dochodzi do 90% ogółu. Działanie eteru na umysł i organizm jest jeszcze szkodliwsze niż alkoholu. Dane te mówią same za siebie. Autor wiąże powyższy stan rzeczy w szkołach z ogólnym rozrostem alkoholizmu w społeczeństwie. Na Sylwestra r. 1929 zabrakło alkoholu w Warszawie, w całym zaś kraju zużyto go za 7 miljonów złotych. Rocznie przepijamy około 1 miljarda. P. Hrabin wzywa nauczycielstwo i organizacje społeczne do powszechnej mobilizacji przeciwalkoholowej.

*ST. SZ.*

# K R O N I K A

## WYSTAWA WOŁYŃSKA W WARSZAWIE

Na ziemiach Rzeczypospolitej toczy się od wieków życie bujne i żłobi swe piętno. Na ludziach wyciska przemożne znamię położenie geograficzne, układ terenu, krajobraz, przyroda.

Cenne i niezmiernie ciekawe w wynikach są poczynania, zmierzające do uzmysłowienia, do stawienia przed oczy wysiłków działań ludzkich w różnych regjonach. Pewne próby były już czynione. Obecnie z inicjatywy b. wychowańców Liceum Krzemienieckiego, które w r. b. obchodzi piętnastolecie odrodzenia, przy pomocy wybitnej ludzi dobrej woli, zgromadzony został dorobek ziemi wołyńskiej, od tylu set lat związanej z Rzecząpospolitą mocnemi węzłami kultury, prac twórczych i wysiłków powstańczych.

Dzięki Akademji Literatury, która oddała swoje sale, oraz dzięki Bibljotece Narodowej, która dostarczyła eksponatów, skupione zostały dokumenty przeszłości w słowie drukowanem, w mapach i w grafice.

Starannie opracowany przez p. Danilewiczową katalog zawiera prawie 1000 pozycyj druków z Wołyniem związanych. I uderza odrazu, że Wołyń posiadał w Łucku, Krzemieńcu, Poczajowie, Ostrogu, Dermaniu, Korcu, Oleksińcu kilkanaście drukarni, które biły książki polskie, ukraińskie i żydowskie.

Całość zbiorów podzielono na trzy grupy: do pierwszej zaliczono książki, ujmujące przeszłość Wołynia, jego etnografję, mieszkańców, przyrodę. W drugiej skupiono Wołyniaków jak: Starowolski, Woronicz, Kołłątaj, Słowacki, Kraszewski, związanych z tą ziemią urodzeniem lub dłuższemi latami pracy. Osobny dział poświęcono wołyńskim Atenom—Krzemieńcowi, wielkiemu wizytatorowi Czackiemu, profesorom i wychowankom: Malczewskiemu, Zaborowskiemu, Padurze, K. Sienkiewiczowi i innym. Postarano się odtworzyć tok prac w liceum, życie organizacji, skupiono używane ongiś podręczniki. Poczesne miejsce zajmuje grafika, a wśród niej dużo rysunków J. I. Kraszewskiego.

Wystawa nietylko sumuje pewien dorobek, ale i odsłania liczne luki i daje szerokie pole pod zasiew nauce. Wołyń współczesny i jego przyszłe możliwości twórcze wyraża jakby druga część wystawy, która się mieści w kasynie urzędników państwowych, Nowy-Świat 67. Tam zapoznać się można z życiem kulturalnem i gospodarczem Wołynia, ze sztuką ludową, z pracą organizacyj społecznych. Tam przemówi żywy głos Wołynia w szeregu inscenizacyj teatralnych.

*Z. D.-K.*

*

## SIEWCY KULTURY...

Piszą traktaty mądre głowy i debatują nad rozszerzeniem kultury czytelniczej w Polsce... nad kryzysem książki... nad sposobami wzmożenia ruchu wydawniczego... A tymczasem, tuż pod bokiem, w Warszawie samej, są spryciarze, którzy kulturę w masy niosą masowo. Detalicznie wprawdzie, po 25 groszy za sztukę, ale w sumie, masowo... Już 100 książeczek wydali. O pięknych czerwonych okładkach, o wzbudzających zachwyt tytułach... *Pop-uwodziciel Rasputin, Hitler—podpalacz Europy, Proces Rity Gorgon, Miłosne kulisy dworu francuskiego,*—wystarczy?—I na jednym i tym samym poziomie: *Wykradzenie Piłsudskiego, Piłsudski, od bojówki do buławy, Bunt legjonistów polskich.*—A dalej: *Alfred Redl, szpieg-homoseksualista,*—*Izydora Duncan, genjusz tańca i miłości,*—*Feluś, król złodziei warszawskich...* I tak dalej, w tym samym stylu,—100 pozycyj.

Pozatem na tych sto broszurek (niechlujnie wydanych, pełnych błędów gramatycznych) 30% prawie to broszurki propagandowe—sowieckie... Trudno inaczej nazwać takie jak np.: *Czerwony dyktator Stalin, Wielki spisek przeciw sowietom, Sowiecka wyprawa polarna, Sowieckie kobiety, Czerwony wschód, Sowiecka wieś...*

Podobno wychodziły w ciężkich czasach przedwojennych polskie, doskonałe, tanie groszowe wydawnictwa, o prawdziwej wartości... Bibljoteka „Mrówki"—Zuckerkandla w Złoczowie (!); było ich więcej nawet...

A dzisiaj wychodzi „Uniwersum" (spis tytułów—jak wyżej). Redakcja w Warszawie, drukarnia w Piotrkowie. Składy główne: Polskie Tow. Księgarni Kolejowych „Ruch", Dom Książki Polskiej, Gebethner i Wolff. I kupują to ludzie zapewne masami. I szerzy się tak kultura „polska"—i „polska" książka przenika w tłumy... Po 25 groszy za tomik 64-stronicowy! Nie wypada wobec tego poprostu narzekać, że książka w Polsce jest droga, i że jej nikt nie kupi. Bo „Uniwersum" ktoś widocznie kupuje. Nie wychodziłoby przecież, gdyby było inaczej!

*R. W. H.*

# Książki nadesłane do Redakcji

### PRAWO I NAUKI SPOŁECZNE

PRACA ZESPOŁOWA: *Dla przyszłości.* Warszawa 1934. Obywatelski Komitet Pomocy Społecznej.

WŁADYSŁAW PONIECKI: *Myśliciele i bojownicy.* Z przedmową Henryka Wrońskiego. Warszawa 1935. Wyd. „Wolność" Sp. z o. o.

ZYGMUNT WOJCIECHOWSKI: *Myśli o polityce i ustroju narodowym.* Poznań 1935. Bibljoteka „Awangardy" tom IV.

DR. LEON ŚWIEŻAWSKI: *Przyrodzony ustrój społeczny.* Warszawa 1935. „Wolność" Sp. z o. o.

### WOJSKOWOŚĆ

Ppor. rez. ERNST JÜNGER: *Książę piechoty (W nawałnicy żelaza)* Tłum. Janusz Gaładyk, ppłk. dypl. Warszawa 1935. Wojskowy Instytut Naukowo-Oświatowy.

### MUZYKA

ZYGMUNT POMARAŃSKI: *Pieśni o wojnie i na wojnie pisane.* Na cztery głosy męskie a capella. Część I. Warszawa 1934. Główna Księgarnia Wojskowa.

## ERRATA

W Nr. 13 (78), w artykule N. Samotyhowej: *Wystawa współczesnej rzeźby francuskiej,* należy czytać w szpalcie 2: w. 2 od góry—*niewiedzy* (zamiast *niewiary*); w. 23 od góry—*tchnącej* (zamiast *tchnących*); w. 59 od góry—*powierzchnie* (zamiast *powierzchownie*).

PRZYPOMINA SIĘ P. T. PRENUMERATOROM, ŻE CZAS ODNOWIĆ PRZEDPŁATĘ NA DRUGI KWARTAŁ ROKU 1935.



**REDAKCJA:** Warszawa, Aleja Róż 2, telefon 9.24-00; czynna w poniedziałki, środy i piątki od godziny 19 do 20. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.
**ADMINISTRACJA:** Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 9.91-08; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł., kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.
Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor naczelny: WŁODZIMIERZ ANTONIEWICZ — Wydawca: za Towarzystwo Kultury i Oświaty JAN KASIŃSKI

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10.